

INDEKS 38 47 98
ISSN 1232 - 8588

Tanew

Nr 6 (264)
LATO

Kwartalnik
Biłgorajski

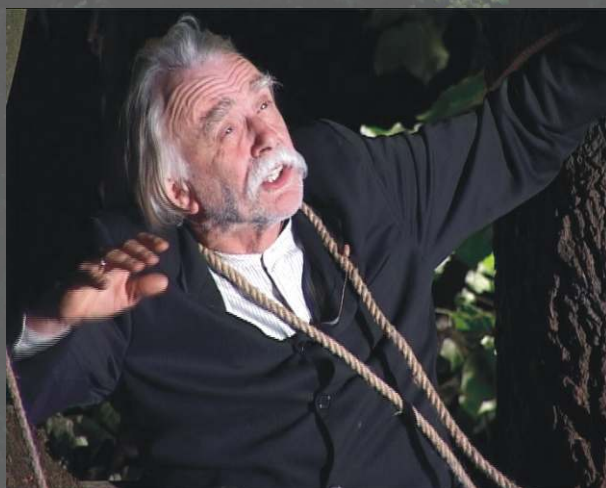


cena 4.99 zł (w tym 0% VAT)

Miasto • Ziemia • Przedsiębiorczość • Dobro wspólne • Dziedzictwo • Kultura



*III Wiosna z Teatrem na Kresach
Spektakl „Drzewo” Sceny Polnej
Fundacji Kresy 2000
wg dramatu Wiesława Myśliwskiego*



Wstęp

Stefan Szmidt

4 Mój Biłgoraj

Henryk Wujec

Mama

Tradycja, historia, obyczaje

16 Piotr Flor

Niedoceniony starosta

19 Kazimierz Szubiak

Zasłużeni i honorowi obywatele
Miasta Biłgoraj

22 Wiktoria Klechowa

Teatr amatorski w Biłgoraju

24 Arkadiusz Nyzio

Profesor Andrzej Srumiłło -
przykład dorobienia się solidnych
rzeczy

30 Agnieszka Marek

Singerowskie demony

Reportaż

6 Czesława Borowik

Duszy ludzkiej wszechnica

8 Adam Sikorski

Bunkier "Wira"

Kultura

12 Halina Ewa Olszewska

Wędrujące "Drzewo"
i sztuka absurdu

15 Dorota Skakuj

Z księgarskiej półki

Joanna Wyrstek

28 Rozbudowa Biłgorajskiego Centrum
Kultury tuż tuż...

34 Piotr Wojciechowski

Gospodarka oparta na lenistwie

Dominikańskie listy
z Lublina

10 Petr Příhoda

Czesi i Polacy, ich wiara, pobożność
i wzajemne relacje - tłum o. Tomasz
Dostatni

Sztuka kulinarna

33 Alicja Jachiewicz - Szmidt

Niedyskrecje kulinarne - lato

Droedy Państwo

Droedy Państwo!

„Kiedy to było? Przed II wojną światową? Kto to pamięta? Kogo to ciekawi? - tymi słowami zaczyna tekst Henryk Wujec. Wspomina w nim swoją niedawno zmarłą mamę. Na tle jej niekiedy dramatycznych losów rysuje się historia naszego miasta i okolic. Kiedy to było? Czy ktoś to pamięta? Jeśli kogoś to ciekawi, niech zerknie na stronę czwartą. Może znajdzie w opowieści Henryka Wujca również jakąś część swojej historii?

Mało znaną kartę z dziejów naszego miasta odkrywa po raz kolejny Piotr Flor. Tym razem pisze o zapomnianej postaci byłego starosty biłgorajskiego Michała Wazowskiego.

Nie zabraknie w tym numery tekstów autorów, których Państwo zdążyli już dobrze poznać: Adama Sikorskiego, Alicji Jachiewicz - Szmidt, czy Piotra Wojciechowskiego.

Czesława Borowik w swoim reportażu zabiera czytelników w podróż do szczególnego miejsca w dawnej Ordynacji Zamojskiej, czyli Zwierzyńca.



Jeśli są Państwo ciekawi, jak będzie wyglądało Biłgorajskie Centrum Kultury po przebudowie, wystarczy otworzyć gazetę na stronie 28 - 29; znajdą tam Państwo kilka zdjęć nowego domu kultury.

Lato się kończy, kończą się też letnie wojaże, pora w sam raz na to, aby po powrocie zasiąść w swoim fotelu z „Tanwią” w ręku.

Zatem miłej lektury!

Wydawca:
Biłgorajskie Centrum Kultury
Dyrektor:
Stefan Szmidt
Adres: 23-400 Biłgoraj
Ul. Kościuszki 16,
Tel./fax 686 04 15,
tel. red. 084 686 33 70
e - mail: tanew@gazeta.pl
www.bck.lbl.pl

Dział Medialny:
P.o. Szef działu-red.
naczelnicy:
Anita Maińska

Red. wydania:
Joanna Wyrstek

Skład graficzny:
Jarosław Szozda

Marketing i reklama:
Jarosław Szozda (BTK)
Tel. 0 84 686 33 70
e - mail: bt.k.reklama@lbl.pl

Druk:
DRUKARNIA
ATTYLA
22-400 Zamość
ul. Partyzantów 61
tel. +48 84 638 60 00

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo redagowania oraz skracania nadesłanych materiałów i zmiany tytułów.



Na zdjęciu: Drzewo Fundacja "Kresy 2000", Magdalena Warzecha (żona) i Stefan Szmidt (Duda) III Wiosna z Teatrem na Kresach Park na Rożnówce.
8 maja 2010. fot. Robert Łazar

Henryk Wujec



Urodził się w Podlesiu koło Biłgoraja w rodzinie chłopskiej. Jako jedyny z całej wsi poszedł na studia, zarażony miłością do fizyki przez biłgorajskiego nauczyciela Adama Rotenberga. Działacz opozycji demokratycznej w czasach PRL, członek KOR-u. Sekretarz Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, poseł na Sejm z Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, Unii Demokratycznej i Unii Wolności, a także wiceminister rolnictwa.

W czerwcu 2009 roku otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Biłgoraja.

Co za brak zrozumienia, jak później tego wykształcenia będzie brakowało Mamie w życiu! Młoda dziewczyna to zapamięta i będzie wiedziała jedno: jej syn musi chodzić do szkoły, wyśle go do pierwszej klasy w wieku 5 lat i 8 miesięcy, a później, gdy zobaczy, że poziom w wiejskiej szkole jest za niski przeniesie do Szkoły Podstawowej w Biłgoraju, odległej o 3 kilometry codziennego marszu, ale to dzięki determinacji Mamy piszę te słowa.

Gdy Mama miała kilkanaście lat zginął jej ojciec zamordowany przez miejscowego bandytę, musiała więc pojechać na roboty do Francji, by w ten sposób pomagać rodzinie. Zresztą, ciekawe, informację o wyjazdach na roboty do Francji rozrzucano nad Biłgorajem z samolotu przed wojną!

Mama poznaje tam zupełnie inny świat, uczy się wiele, to są jej uniwersytety. Samotna dziewczyna w obcym kraju, bez wsparcia rodziców, czy ma tam zostać, tam zawrzeć małżeństwo - i stamtąd pomagać rodzinie, czy wracać?

Wraca tuż przed wojną, zostaje wyswatana za młodego kawalera z Podlesia Józefa Wujca, który gospodaruje sam z ojcem Stanisławem, bo Marianna - mama Józefa nie mogąc znieść pijaństwa męża zostawiła go ze starszym synem, a sama z młodszym wyjechała do wsi pod Lublinem. Zapada decyzja o ślubie Stanisławy z Józefem - rodziny się dogadują, już są po „zmówinach”, kiedy zdecydowano o sprawach majątkowych, i właśnie, gdy wracali do domu ze „zmówin” na Stanisława, ojca Taty, napadają dwaj bandyci licząc na duże pieniądze (chyba te z Francji), mój dziadek zostaje

MAMA

Kiedy to było? Przed II Wojną Światową? Kto to pamięta? Kogo to ciekawi?

Kto pamięta jak wyglądał Biłgoraj, Rynek, ul. Kościuszki, przedmieście Puszcza Solska, wieś Różnówka pod Biłgorajem,....?

Młoda dziewczyna Stanisława Wilkosówna, jedna z wielu sióstr w biednym gospodarstwie na Różnówce, chodzi do pierwszych klas szkoły podstawowej, chce się uczyć dalej, nauczycielka chce ją zatrzymać u siebie w domu, byle tylko mogła dalej uczyć, ale jej praca potrzebna jest w gospodarstwie, mama zabiera ją ze szkoły.

zamordowany - to drugi mój dziadek zamordowany przed wojną. Ślub Mamy i Taty odbywa się w cieniu pogrzebu. Dwoje młodych ludzi nieprzygotowanych do życia zostaje rzuconych na głęboką wodę bez pomocy rodzin, ich ojcowie nie żyją, a mamy, z których jedna jest pod Lublinem, a druga obciążona licznym potomstwem, pomóc mogą niewiele.

Tata przejmuje w dziedzictwie najlepsze cechy chłopskie: honor, zaradność, samodzielność, szeroki gest, ale z czasem i nienajlepsze, jak słabość do alkoholu.

Mama, która widziała już wielki świat wchodzi w życie z niezwykłą ambicją, pasją i optymizmem, jest najbardziej pracowitą osobą, jaką widziałem w życiu, chce zbudować, prawie z niczego, lepsze życie dla młodego małżeństwa i dla dzieci. Jak te dwie, na pewno kochające się istoty, ale zdane tylko na siebie, dadzą sobie radę w życiu, jak poradzą sobie ze skrajnie trudnym życiem w dramatycznych czasach? Skrajnie trudnym, bo zaraz po ślubie mąż idzie na front - we wrześniu 1939 roku wybucha II wojna światowa. Wraca szczęśliwie w październiku, ale Niemcy przez następne prawie 5 lat będą okupować Lubelszczyznę, stają się panami i władcami wszystkiego, zwłaszcza ludzkiego życia.

Młode małżeństwo musi wszystko zbudować od nowa, mieszkają w prymitywnych warunkach, w budynku gdzie izba, stodoła i obora są pod jednym dachem. Stawiają więc najpierw dom, ja jeszcze rodzę się w tej biedaizbie, ale w pierwszej swojej pamięci sięgam do ładnego drewnianego domku, który stopniowo jest przystosowywany do zamieszkania. W nim upłynie całe moje dzieciństwo i młodość, ten dom to część mojego życia.

Już od samego początku jestem

napiętnowany wieloznacznym losem: urodziłem się 25 grudnia 1940r, ale w metryce mam 1 stycznia 1941r, Tata za zgodą księdza proboszcza, uznał, że lepiej mieć późniejszą o rok datę urodzenia (o rok później idzie się do wojska). Na imię dostałem Henryk, nikt na wsi nie miał takiego imienia, spełniło się życzenie Mamy, której spodobało się francuskie imię Henri, zwłaszcza wymowa tego imienia, a być może podobał jej się konkretny Henri, nie wiem? Myślę także, że Mama, która już widziała „wielki świat” postanowiła wyzwolić się z imion na „J”: Jantoni, Jędrzej, Jasiak, Józef i im podobnych. Nie całkiem to się udało, bo na wsi „spolszczono” moje imię na Hyniek.

Z Biłgoraja dobiegają straszne wieści, Niemcy mordują Żydów, znajoma rodzina żydowska prosi Tatę, żeby wziął na przechowanie ich synka, ale Tata boi się, na wsi nie da się ukryć obrzezania, giną nasi znajomi Żydzi, tracę szansę na posiadanie braciszka Żyda.

Nocą przychodzą „partyzanci”, a może zwyczajni bandyci i zabierają chłopski dobytek, Tata do końca życia niepocholebnie wypowiadał się o partyzantach.

Niemcy mają swój plan: Zamojszczyznę należy spacyfikować, polską ludność wysiedlić, a na jej miejsce sprowadzić Niemców z Rumunii, Ukrainy, Bośni,... w ten sposób powstanie niemiecki pas bezpieczeństwa na wschodzie. Akcja jest prowadzona z niemiecką dokładnością, kolejne wsie otacza wojsko, ludność jest zabierana do Majdanku, a kto przeżyje wysyłany jest na roboty do Niemiec, wiele wsi w czasie pacyfikacji spalono. Nota bene, jedną z rodzin sprowadzonych na Zamojszczyznę, była rodzina Koehlerów osiedlona w Skierbieszowie, tam urodził się w 1943r poprzedni Prezydent Niemiec Horst Koehler.

Nasza wioska była pacyfikowana na początku lipca 1943r, Mama w ciąży ukrywała się w lasach pod Brodziakami, Tata akurat pojechał z mlekiem do miasta, a mnie z siostrą cioteczną Danusią zostawił u wujka Jana Wojdy. Rano wioskę okrążyli Niemcy i wszystkich zabrali. Można sobie wyobrazić rozpacz młodych rodziców po utracie syna i siostrzenicy. Na szczęście pod Majdankiem we wsi Zadębie mieszkała moja babcia Marianna, która rozpoczęła starania o uwolnienie mnie z Majdanku i w ostatniej chwili jej się to udało, ale nie udało jej się jednak uwolnić córki Wojdów Heleny, która później zginęła w Niemczech, Danusię odnalazła w Niemczech jej mama, którą wojna zastała na robotach we Francji.

Mojej Mamie szczęściem udało się przeczekać pacyfikację w lasach Puszczy Solskiej, a we wrześniu urodził się w nowobudującym się domu mój brat Stanisław i było nas dwóch.

Kończyła się wojna, w lipcu 1944 Niemcy z Biłgoraja uciekli, a w naszej wsi pojawili się na krótko Rosjanie, później poszli dalej na Zachód. Rozpoczął się czas ciężkiej pracy, odbudowy po wojennych zniszczeniach, stawiania budynków gospodarskich, odnajdywania się rodzin, po roku wrócił z przymusowych robót w Niemczech Jan Wojda z żoną, lecz bez swej ukochanej córki Heleny, co było dla niego największą tragedią życiową, przyjechała także Danusia, która znowu zamieszkała z nami jak siostra, bo jej mama gdzieś zaginęła po wojnie.

Mama ciężko pracuje w gospodarstwie, chce za wszelką cenę poprawić los swojej rodziny, Tata jeździ na zarobek, wozi kamień wapienny z kopalni w Dylach na budowy i na drogi. Ale po skończonej dniówce furmani często piją, co stało się rytuałem, nie wiedzą, że zakończy się nałogiem, z którego wówczas nie było wyjścia. Jakże żałuję, że nie można było powstrzymać tego procesu, ile on narobił szkód!

W gospodarstwie praca od rana do wieczora, Mama jest niedościgniona w każdej pracy w polu, czy na łące, aż budzi to zazdrość sąsiadek, my także staramy się zasłużyć na pochwały rodziców, a przynajmniej nie na kary.

Mama pamiętając jednak o swo-

ich doświadczeniach ze szkołą, wysłała mnie maksymalnie wcześniej, bo już we wrześniu 1946r (mam 5 lat i 8 miesięcy) do Szkoły Podstawowej w Dereźni Majdańskiej i w Dereźni Solskiej, mieszczącej się w zwykłych izbach wiejskich (gospodarze przenosili się do kuchni), latem biegałem sam, zimą przez zaśnieżone pola wozila mnie Danusia na sankach. Wiele można by o tej szkole opowiadać, ale przede wszystkim wspomnieć należy panią nauczycielkę Krystynę Newlaczyn, która codziennie docierała na piechotę z Biłgoraja, aby w Dereźni uczyć chłopskie dzieci, zachowaliśmy o niej najlepsze wspomnienia.

Nie wszyscy byli tak systematyczni, inny nauczyciel w czwartki udawał się czasami na jarmark do Biłgoraja, a zajęcia szkolne odwoływał.

Mama po trzech latach doszła do wniosku, że trzeba mnie przenieść do Szkoły Podstawowej w Biłgoraju, bo tam wyższy poziom nauczania, chyba miała rację, bo po skończeniu podstawówki od razu zacząłem uczęszczać do biłgorajskiego liceum, a w przypadku Dereźni nie byłoby to takie łatwe.

Mama miała się różnych zajęć byle tylko poprawić poziom życia rodziny, codziennie wozila mleko do miasta na rowerze, aż potracił ją samochód i potem długo chorowała. Gdy już była zdrowsza zapisała się do

ciężkiej pracy fizycznej w Spółdzielni przy czyszczeniu włosów, żałuję, że jej na to pozwoliłem, bo była to praca w pyłe i kurzu, w warunkach szkodliwych dla zdrowia. Boże, gdyby wszyscy mieli tyle siły i woli życia.

Pod koniec staraliśmy się pokazać Mamie, że jej życie miało sens, że jej ciężka praca zaowocowała tym, że jakoś sobie radzimy, że istniejemy jako cała jedna rodzina, która czasami gromadzi się u niej w domu:

Stach i ja, Ludka moja żona, nasz syn Pawełek z synową Kasią i wnuczkami Mają i Kubą, Mariola córka Stacha a zarazem prawie nasza córka: Ludki i moja, bo od dawna mieszkamy razem, Terenia z mężem Darkiem i wnukiem Tymonem i rodzicami Darka, którzy tak wiele pomagali, Mirek z żoną Anią, wnuczką Fryderykiem (znów nietypowe imię w rodzinie!), którzy otoczyli Mamę w ostatnich dniach największą opieką i rodzice Ani bardzo pomagali, Emilka - najmłodsza córka Stacha wyjechała ze swoim chłopakiem Kamilem na saksy do Anglii, ale na szczęście tęskni i czasami przyjeżdżają, i Danusia na stałe opiekująca się Mamą, dla której Mama była zarazem Mamą i Ciocią, i bardzo bliską osobą.

9 lipca, po 93 latach życia, Mama odeszła spokojnie, na zawsze, w nieznanym. ■

**Henrykowi i Ludwice Wujec
najgłębsze wyrazy współczucia
z powodu śmierci
ukochanej Mamy i Teściowej**

ś.p. Stanisławy Wujec

składają dyrektor
i pracownicy Biłgorajskiego
Centrum Kultury

**Naszej Koleżance Alicji Kubackiej- Bazan
wyrazy ubolewania i współczucia
z powodu śmierci Mamy**

ś.p. Leokadii Kubackiej-Zachajusz

składają dyrektor
i pracownicy Biłgorajskiego
Centrum Kultury

Czesława Borowik

reportażystka
Rozgłośni Pol-
skiego Radia
w Lublinie,
prezes Stowa-
rzyszenia Miło-
śników Histo-
rii Mówionej
z siedzibą w

Polskim Radiu Lublin, organizator
Radiowej Akademii Historii Mówio-
nej, laureatka międzynarodowych
konkursów dziennikarskich. W latach
2003-2007 kierowała działem
medialnym Biłgorajskiego Centrum
Kultury.

W swoich wędrówkach śladami
Ordynacji Zamoyskiej dotarłam do
osób, których członkowie rodziny
pracowali przed wojną w admini-
stracji ordynackiej. Ich historia
nierozzerwalnie spleta się tu z historią
samego miejsca, jego zabytków,
a także wyjątkowej, roztoczańskiej
przyrody.

Kościół na wodzie

*Świątynio leśna i hetmańska
Świątynio biednych i bogatych
Tyś pełnia płaczu i radości
I w barokowe strojna szaty
Stoisz tak sobie na wysepce
Jak nigdzie więcej, w drzew zieleni
I patrzysz wiecznie w lustro wody
I strzeżesz wiernie swych korzeni
A ludzie idą, podziwiają
I Marysieńka się zachwyca
A las się do snu ukołysze
Boś duszy ludzkiej Ty wszechnica**

Wysokie drzewa, które niejedno
widziały przeglądają się teraz w tafli
wody oblewającej wysepkę, na której
stoi kościół pod wezwaniem św. Jana
Nepomucena.

- Wystarczy nieco unieść głowę, by
zobaczyć herby fundatorów świą-
tyni - opowiada Tomasz Gajewski,
pasjonat historii rodu Zamoyskich,
potomek pracowników Ordynacji,
historyk sztuki. Po lewej stronie
znajduje się herb Zamoyskich - Jelita
(trzy skrzyżowane włócznie), a po
prawej herb Michowskich - Rawicz
(panna na niedźwiedziu). Kościół był
ufundowany przez Tomasza Zamoyskiego i jego żonę Teresę Aniele
Michowską.

- Świątynia barokowa, o bardzo
ciekawej konstrukcji - mówi Gajew-
ski. - Osadzona jest na wbitych w dno
palach dębowych, bo trzeba było
jakoś grunt ustabilizować. Na to

**Duszy ludzkiej
wszechnica**

Zwierzyniec - dziś kojarzony przede wszystkim z miejscem wakacyjnego wypoczynku, gdzie co roku odbywa się Letnia Akademia Filmowa, przez prawie cztery wieki był częścią Ordynacji Zamoyskiej, założeniem parkowo-ogrodowym, letnią rezydencją rodziny ordynata, ale również leśną enklawą, w której kwitło życie towarzyskie ordynackiej inteligencji, czyli pracowników biura Ordynacji, leśników.

dopiero idą dosyć duże kamienne
bloki. Wszystko wskazuje na to, że
autorem projektu był Jan Andrzej
Bem, a wykonawcą włoski mistrz
zatrudniony przez 46 lat w Ordynacji
- Jan Columbani.

Na ścianie ołtarza - postać św.
Jana Nepomucena. Został namal-
owany przez Łukasza Smuglewicza,
nadwornego artystę Augusta III Sasa,
pracującego także dla rodziny Za-
moyskich. Doskonałe jest jego
malarstwo, naprawdę wysokiej klasy
- podkreśla Gajewski.

Roztoczański Park Narodowy.

- Jesteśmy na jednej z ładniej-
szych osi widokowych Bukowej
Góry, między wzniesieniami wiją się
wstęgi pól jakby namalowanych, tu
za czasów Ordynacji też podziwiano
piękno krajobrazu. - Tadeusz Grabowski,
pracownik Roztoczańskiego
Parku Narodowego, podkreśla warto-
ść historyczną i przyrodniczą tego
miejsca. Celem Parku Narodowego
jest przede wszystkim ochrona dzie-
dzictwa przyrodniczego i kulturo-
wego oraz jego udostępnianie w spo-
sób, który nie wpływa negatywnie na
przyrodę parku.

W strugach deszczu docieramy
do bramy, która ma przypominać,
czym był Zwierzyniec przez małe „z”.
Był to bowiem ogród zoologiczny
w naturalnym środowisku, gdzie
trzymano różne zwierzęta, na przy-
kład tarpany - przodków naszych
polskich koni. One stały się też
symbolem parku. Ta brama wpro-
wadza nas zatem do świątyni
przyrody, rezerwatu utworzonego
w 1936 roku. Dziś jest to obszar
ochrony ścisłej, gdyż mamy do
czynienia z naturalnym lasem pier-
wotnym.

Na balu u Ordynata

Miejsca powstałe i pielęgno-
wane za czasów Ordynacji Zamoyskiej
każą mi szukać ludzi, którzy

pamiętają czasy panowania wielkich
gospodarzy. Tomasz Gajewski i Kry-
styna Śmieciuszewska-Amanowicz
otwierają przede mną swoje rodzinne
albumy. Na fotografiach z lat mię-
dzywojennych wskazują urzędników
ordynackich, m.in. stryja pani Kry-
styny Zygmunta Śmieciuszew-
skiego, ojca jej chrestnej matki
Przeciechowskiego, sąsiada Mazu-
rkiewicza, Stana Lubickiego, który
został zastrzelony przez Niemców
w czasie ucieczki, Jankę Fajfrównę -
rodzoną siostrę Aleksandry Wachnie-
wskiej oraz wiele innych postaci.

- Mieszkańcy Zwierzynca mieli
wówczas barwne życie towarzyskie -
opowiada pani Krystyna.

- Organizowano bale, nawet dla
dzieci - wtrąca Tomasz Gajewski.

- Pamiętam, byłam na takim jednym.
Do dziś przechowuję zaproszenie,
niestety nie swoje. Co się stało z mo-
im, nie mam pojęcia. Data, jaka na
nim widniała, to 28 sierpnia 1939. Za
kilka dni wybuchła wojna. Moja
mama też bywała na takich balach,
panie sprowadzały suknie aż z Wa-
rszawy, prawdziwa rewia mody.
Życie towarzyskie kwitło. Wiem to
przede wszystkim z opowieści, bo
byłam wtedy małą dziewczynką.
Mama zawsze wspominała, że naj-
szczęśliwszy okres jej życia to 17 lat
po ślubie z moim ojcem, kiedy tu
mieszkali. Zwierzyniec miał swój
klimat, który tworzyli przede wszy-
stkim ludzie. - kończy pani Krystyna

Stawy Echo

Tadeusz Grabowski: - Po lewej
stronie, tu gdzie teraz mamy ścianę
lasu, też był kiedyś staw. Ordynatom
nie chodziło o powiększanie komple-
ksu stawów, ale o to, by dać ludziom
zatrudnienie. Wiele osób znalazło
w Ordynacji schronienie przed
okupantem. Wykonywali tu prace
hydrotechniczne.

- Niemcy wiedzieli, kogo zatrudnia

Ordynat?

- Raczej mało prawdopodobne.

*Nie ma piękniejszej krainy
Nad moją krainę Roztocza
W tych polach odnajdę piosenkę
Zbłąkaną w pagórach i zboczach
Ta piosenka wciąż idzie z człowiekiem
Raz smętna, bo jesień ją roni
To znowu wybucha radością
Gdy wiosna świergotem rozdzwoni
Z tych pól roztoczańskich pozbiieram
Szum kłosów, co zagra we żniwy
I serce położę pod miedzą
I będę tu zawsze szczęśliwy*

Pałac plenipotenty

Zbliżamy się do siedziby dyrekcji Roztoczańskiego Parku Narodowego. Niegdyś była to willa dla zarządców dóbr ordynackich.

Tomasz Gajewski: - Duży, piękny dom na górcie. W Zwierzyncu zawsze mówiło się o nim „pałac plenipotenty”. Wzniesiony w stylu szwajcarskim przez Ignacego Aleksandra Szymańskiego, jak głosi zamieszczona tu tablica. Szymański to był bardzo dobry budowniczy, jak to się dawniej mówiło. Pojawił się tu za czasów Ordynacji i wybudował całą masę różnego rodzaju obiektów, między innymi właśnie ten dom. Trzeba powiedzieć, że taras został dobudowany w czasie II wojny światowej, kiedy Ordynacją rządził okupant, a ordynat Jan Zamojski był pracownikiem i podlegał dwóm Niemcom. Można powiedzieć, że oni się tutaj zakamufłowali. Starali się nie szkodzić miejscowej ludności. Wiedzieli nawet o konspiracyjnej działalności Zamojskiego. Kiedy ordynat wracał z Lublina, wioził broń. W tym samym czasie niemieckiemu zarządcy zachciało się pojechać do folwarku Zawada, po jakiegoś prosiaka zdaje się. Spotkali się po drodze. No i co robić? Zarządca kazał otworzyć bagażnik, a tam lufy karabinów wystają. Powiedział tylko tyle: „Bardzo proszę pana Ordynata, żeby tych bagaży nie wozić służbowym samochodem”.

Akowskie gniazdo

- Ale nie wszyscy Niemcy tacy byli - kontynuuje pan Tomasz. - Pamiętamy przecież o obozie w Zwierzynku i o aresztowaniach. Tutaj była głośna afera Rusta, konfidenta gestapo, który z czasem zaczął wydawać. Miał doskonałe rozeznanie terenu, w wyniku jego działalności cała masa ludzi została aresztowa-

wana. Wśród nich byli też ludzie Ordynacji, między innymi inspektor lasu Tomasz Kietliński, geometra Brandt, bracia Gulińscy... Wiele osób wyspał.

Krystyna Śmieciuszewska-Amanowicz: Tu było gniazdo Akowskie. I wszyscy ci ludzie zaczęli w 1945 roku uciekać, jak Urząd Bezpieczeństwa zaczął deptać po piętach. Uciekali po całej Polsce, żeby zatrzeć za sobą wszystkie ślady, żeby nic nie pozostawić. Wiele z tych osób zginęło, a Zwierzyniec się spalił.

- Czy ta drewniana chałupa, którą państwo kupili tutaj, żeby mieć gdzie przyjeżdżać z Warszawy, przypomina w jakimś sensie pani zwierzyniecki dom rodzinny?

- Nie. Mieszkaliśmy w kamienicy ordynackiej. Ona stoi do dziś, ale w opłakanym stanie. Pani Krystyna pokazuje starą fotografię, na której widzę solidną kamienicę, z czerwonej cegły, z efektywnie wykończonymi narożnikami z białego kamienia. - To charakterystyczne budownictwo czasów ordynackich. Co ciekawe, już przed wojną mieliśmy prąd, elektrownia była w tartaku. Mieliśmy też telefony, nasz miał numer 41, pamiętam to do dziś.

A przyroda trwa niezmiennie...

Mgła powleka bielą horyzont. Wędrujemy po południowej części parku.

Tadeusz Grabowski: - Stąd widoczny jest padół zwierzyniecko-józefowski wykorzystany przez strumień Świerszcz. Monotonne, rozlane wzniesienia przykryte połacią lasu.

- Doskonałym źródłem informacji o regionie są mapy. Roztocze było kartowane wielokrotnie. Jedna z najstarszych map, z 1776 roku, pokazuje, że ściana lasu, którą w tej chwili idziemy, już wtedy była zaznaczona. I niezmiennie, przez ileś tam setek lat trwa. ■

*A gdy mi zabraknie już mocy
Jedna mi droga ostanie
To jeszcze te jodły zanuć
I będę wciąż grać na rozstanie
Nie ma piękniejszej krainy
Co z niebem i słońcem się styka
Bo pieśń roztoczańską przyrody
W mym sercu świat cały zamyka**

*fragmenty poezji Władysława Sitkowskiego

Było...
Nowy samochód dla biłgorajskiej straży pożarnej

17 sierpnia br. w Biłgoraju odbyła się uroczystość przekazania czterech samochodów ratowniczo - gaśniczych zakupionych ze środków unijnych w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego - Województwa Lubelskiego.

Jeden z nowoczesnych samochodów ratowniczo - gaśniczych trafił do komendy w naszym mieście. Pozostałe do Kraśnika, Tomaszowa Lubelskiego i Janowa Lubelskiego. Te cztery komendy wspólnie przystąpiły do projektu: Poprawa bezpieczeństwa chemiczno - ekologicznego na obszarach Lasów Janowskich, Puszczy Solskiej i Roztocza.

- Projekt zakłada ochronę przed zniszczeniem unikatowych na skalę europejską i szczególnie wartościowych z przyrodniczego punktu widzenia Lasów Janowskich, Puszczy Solskiej i Roztocza. Zakres projektu obejmuje wyposażenie czterech komend powiatowych w nowoczesny sprzęt niezbędny do prowadzenia akcji ratowniczo - gaśniczych i usuwaniu skutków awarii z udziałem niebezpiecznych substancji chemicznych. Samochody ratowniczo - gaśnicze wyposażone są w specjalistyczny sprzęt przeznaczony do prowadzenia działań z zakresu ratownictwa chemicznego i technicznego - informuje starszy kapitan Krzysztof Kurasiewicz, rzecznik powołanego przez komendy powiatowe PSP w Biłgoraju, Janowie Lubelskim, Kraśniku i Tomaszowie Lubelskim konsorcjum. Ogólna wartość projektu to blisko 3,14 mln zł brutto. Dofinansowanie z EFRR to 2 662 956,5 zł. Wartość samochodu, który trafił do Biłgoraja to prawie 850 tys. zł.



Otwarto Bobrowy Trakt

W sierpniu otwarto nowy szlak na terenie naszego powiatu. Tego dnia odbył rajd pod hasłem „Zieleń to życie - nie zaśmiecaj”. Uczestnicy przejechali prawie 30 km.

Jego organizatorami byli: Stowarzyszenie Wspierania Rozwoju i Integracji Turystycznej „Patria” w Korytkowie Dużym, PTTK o/Biłgoraj oraz POIT w Biłgoraju.

Rajd rozpoczął się w Korytkowie Dużym, a jego trasa wiodła przez Siedem Chałup, rzekę Bukowa - Cybulne Góry - starą kamienną drogę - Gościńiec Janowski - Andrzejówkę - Bukowę - do drewnianej wiaty w lesie.

Rozpiętość wiekowa uczestników rajdu była duża: najmłodszy miał 4 lata, a najstarszy 78 lat.

Władysław Sitkowski

Adam Sikorski



dokumentalista, historyk specjalizujący się w zakresie historii najnowszej. Główny obszar zainteresowań to dzieje żołnierza polskiego w ostatniej woj-

nie, partyzantka i antykomunistyczny ruch oporu w naszym regionie. Autor cykli programowych o tematyce historycznej "Było ...nie minęło", „Ocalić od zapomnienia”. Jego tryptyk filmowy „Powstanie Zamojskie” został nagrodzony na festiwalu filmów dokumentalnych w Nowym Jorku.

Jedno spojrzenie daje odpowiedź na pytania, dlaczego każdy niemiecki pościg za nieuchwytnymi cieniami Puszcz Solskiej kończył się nieodwołalnie na progu tego do dziś pierwotnie groźnego świata, dlaczego ściągnięci tu na wielką operację Sturmwind II, żołnierze Wehrmachtu w kosmicznej liczebności 30 tysięcy, na noc porzucili okopy w pasie okrażeń bagna na linii św. Stanisława i czekali świtu we wioskach.

Kiedy wreszcie bagno zaczyna wypływać się ku Trzepietniakowi, nie bez pewnej ulgi wchodzimy na wyspę porośniętą sosnowym lasem - dawna nazwa tego miejsca to Kapliczna Góra, nowsza i powszechniejsza to Obóz „Wira”. Problem w tym, że aby poczuć wyjątkowość tego miejsca trzeba w sobie przynieść sporą porcję historycznej wiedzy, przeczytanych relacji, obejrzanych fotografii. Na razie turysta zastaje na szczycie imponujących rozmiarów regularny wykop z wybierającym w dół stoku rowem - takich miejsc w puszczy leśnicy pozostawili dziesiątki przetrzymując w nich sadzonki przed odnowieniem lasu. Sprawę nieco rozjaśnia blok z szarego tutejszego kamienia z lakoniczną, co prawda inskrypcją, ale mówiącą, że tu w czasie okupacji niemieckiej działała leśna szkoła Młodszych Dowódców Piechoty. Małymi literkami A. G. pod spodem podpisał się budowniczy tego pomniczka niezmodernizowany Adam Grochowicz. Na mapie regionu znaleźć można jeszcze 148 takich miejsc zaznaczonych głazami przez tego natchnionego rzeźbiarza z najgłębszej potrzeby serca i dodajmy od razu bez grosza zarobku. Ten zaś kęs józefowskiego piaskowca na

Bunkier „WIRA”

Wyobrażam sobie to tak. Grupę odważnych wędrowców spragnionych ekstremalnego doświadczenia prowadzimy przez bagno „Sokolisko”. Rozkołysane morze trzciny. Cienkie sosnki od dziesiątków lat przepompowujące jałową wodę, nie mające szansy na drobny nawet przyrost. Rzęsa bagienna, rosiczki, oczka wodnych pułapek. Lęk czy uda się na czymś postawić następny krok. Gdyby taki obraz umieścić w dowolnej porze roku i okupacyjnych realiach można by go podpisać: „Powrót partyzanckiego patrolu”.

Kaplicznej Górze, szczególnie ubódł lokalną ówczesną władzę (lata sześćdziesiąte ubiegłego wieku), bo pojawił się na nim zakazany wtedy pseudonim „Wir”. Szykanowano pana Adama, wielkiej zacności człowieka, na wszystkie sposoby, na jakie maszyna państwa szykanować wtedy potrafiła - lecz sam głaz (znowu dzięki niedostępności bagna) pozostał.

Każda jednak epoka, każde pokolenie ma swój sposób traktowania pamięci narodowej. Dorasta właśnie generacja multimedialna, która w nieuchronny sposób przejmie od nas rozbitków z archipelagu Gutenberga zapatrzonych w potęgę zapisanego słowa tą świętą sztafetę. Ale do nich trzeba najpierw dotrzeć. Opowiedzieć historię leśnego wojska ich językiem. Od lat noszę się więc z pomysłem aby bunkier „Wira” zrekonstruować. Stopień trudności żaden, koszty także. I nawet wydawało mi się przed laty, że już do tego przedsięwzięcia partnerów zgromadziłem, kiedy gdzieś to wszystko grzęzło. Teraz jednak mam poczucie, iż potencjalna armia sojuszników może być duża. Są dobre doświadczenia kilku awangardowych muzeów, z Muzeum Powstania Warszawskiego na czele, które pokazały zupełnie nową metodę opowiadania znanej historii. Znalazły te placówki receptę jak pozwolić dotknąć zwykłemu śmiertelnikowi ważnego fragmentu czasu przeszłego.

Tutaj na Kaplicznej Górze wykop już jest - co najwyżej trzeba by go nieco pogłębić - ale publicznie zobowiązuję się zgromadzić pospolite ruszenie kolegów poszukiwaczy, którzy za kilka dni pracy nie wezmą ani grosza, przyjadą na własny koszt i sami się utrzymają. Tak naprawdę rzeczywisty koszt to jeden cieśla i kilka traktorowych przyczep okrągłaków. Konstrukcja bunkra była bowiem dosyć prosta. Ściany tworzyły sosnowe pnie utrzymywane

przez narożne słupy. Ukośny jedno-spadowy dach opadał ku bagnu idealnie wkomponowany w pochyłość wzgórza.

Jedyną finezją, jak na militarną konstrukcję, było okno w dachu, które dziś nazwalibyśmy połaciowym, marzycielsko patrzące w gwiazdy. Wejście do bunkra było swego rodzaju rowem dobiegowym dającym możliwość niedostrzegalnego opuszczenia obiektu w razie potrzeby. Nigdy jednak ten przekop nie odegrał takiej alarmowej roli, obóz całością wojska opuszczono tylko raz, ale jak się okazało na zawsze, ruszając ku dramatycznemu przeznaczeniu osuchowskiej bitwy.

Fenomen tego miejsca polega też na tym, że ma ono fantastyczną dokumentację fotograficzną. Gdyby z poślizgniętych klisz przenieść postaci na nośnik wiecznotrwały odporny na deszcz i mróz, szkło organiczne albo blachę, powiększając do rzeczywistych rozmiarów i wycinając z prostokątów same sylwetki można by stworzyć niezwykle instalację plastyczną. Oto tu, gdzie wychodzimy z bagna, stoi Komendant (tak z szacunkiem przez lata tytułowali go starzy i młodzi w okolicy i nikt nie musiał dodawać, że chodzi o Konrada Bartoszewskiego „Wira” - było to jasne samo przez się i taki sposób nazywania Go w myślach przejąłem od moich sąsiadów bez wahania).

Ta fotografia nie jest typowym portretem partyzanta. Bez atrybutów wojennych, broni, pasów, rynsztunku - wsparty na kosturku po ciężkiej ranie nogi, bez marsowej miny wodza, który ma świadomość, że to zdjęcie kiedyś może trafić do podręczników historii - raczej czuje się troskę o tych zbyt młodych na umieranie chłopców ćwiczących nieopodal z najwyższym zapalem chwytów bronią, jakby to od ich precyzji zależał los wojny. To portret takiego Komendanta, jakiego zapamiętałem - wrażliwego humanisty

zaplątanego w okrutną wojnę. Nigdy do końca nie potrafiłem dopasować do siebie dwóch połówek Jego osobowości - urodzony naturalny dowódca partyzancki, nie oszczędzający samego siebie, pełen świetnych pomysłów i partyzanckich forteli, ale zarazem jakoś niewojakowo delikatny, pełen refleksji, subtelny, zapatrzyony w dawnych bohaterów tej ziemi (napisał doktorat o poecie powstańcu Mieczysławie Romanowskim). Pytałem zawsze siebie, nie mając odwagi zapytać „Wira”, jak tak bardzo kochając człowieka można go równocześnie wystawiać na najwyższe ryzyko w boju. Odpowiedź znalazłem zbyt późno, aby jeszcze o tym z Komendantem porozmawiać. W małej książeczce, która niemal niezauważona przemknęła przez lokalny rynek wydawniczy. Nosi tytuł „Sąd polowy” a w niej Konrad Bartoszewski w nieobowiązujących literackich formach zostawił nam szereg odpowiedzi na dręczące do dziś historyków pytania; o szczegóły afery Wismana, śmierć majora Kaliny. Mnóstwo klimatu i barwy onego czasu, dramat i romantyzm. Jest też piękny opis życia partyzanckiego obozu na Kaplicznej Górze i kto wie czy w odbudowanym bunkrze nie warto by fragmentów tych zapisów umieścić (a już zupełnie na marginesie może warto „Sąd polowy”, wznowić - często rekomenduję go kolegom historykom a oni pytają gdzie tej książki szukać? Chciałbym odrzec im: w Biłgoraju, ...ale na razie nie mogę).

Wróćmy jednak do postaci, które chcielibyśmy powiększone i zreprodukowane na trwałym nośniku w przyszłym zrekonstruowanym obozie umieścić. W strefie odsuniętej od centrum, dla bezpieczeństwa i elegancji obozowiska, prowizoryczna kantyna. Obyty z wojennymi detalami rozpozna dwa kotły z polskiej wrześniowej kuchni polowej (niewykluczone, że z tej, której resztek wydobyliśmy niedaleko stąd z Tawni). Stoją na podmurówce z cegieł buchając parą a obok kuchcik, chłopiec, wzruszająca postać, na którego wszystko jest za duże i wojskowy płaszcz i podkute buty i czapka. Obok inna grupa. Nim dogotuje się kasza trwają zajęcia. Rozebrany CKM, oczywiście polski i oczywiście, bo jak inaczej w tych stronach mogło by być, wrześniowy podniesiony z pobożowiska zakon-

serwowany i ukryty na ważny czas, który najwyraźniej przyszedł. Władysław Bury „Burza”, „Pilocik” i inni przyszedli podoficerowie, których, nazwisk nikt w porę nie zapisał studiując mechanizmy broni. Idziemy dalej. Z rowu dobiegowego bunkra wybiega z bronią drużyna alarmowa. Wewnątrz w strudze słonecznego światła padającego przez okno w dachu (jedno z najbardziej wysmakowanych artystycznie zdjęć) znowu nad kolejnym cekaemem Ignacy Plata „Baryka”. Fotografii jest tyle, że brać przebierać i komponować całość. A czy można sobie wyobrazić skuteczniejszą lekcję historii najnowszej dla dzieciaków z okolicznych szkół? A jakaż to będzie duma, kiedy odnajdą tu pośród tych zaklętych w fotograficznym bezruchu bohaterów swego dziadka czy babcię?

Aczkolwiek babcia pojawić się może nie tutaj w typowo męskiej domenie, ale czterysta metrów dalej wędrując ścieżką wzdłuż misy bagna. To kolejny obiekt, który powinien się na przyszłej ścieżce edukacyjnej znaleźć.

Szpital Polowy 665.

Kiedy opowiadam kolegom historykom z Zachodniej Europy o Polskim Państwie Podziemnym, partyzanckich republikach, w których Niemcy w sile niżej batalionu nie śmieli się pojawić, trafiam na pewien odruch niedowierzania. Ale prawdziwy szok następuje, kiedy aby ich przygwoździć, sięgam po zdjęcia partyzanckiego szpitala polowego Armii Krajowej Obwodu Biłgoraj (665 to kryptonim obwodu). Barak o powierzchni, jakiej mogły mu wtedy pozazdrościć ówczesne szpitale rozrzucone po okolicznych miasteczkach. Jasne czysciutki wnętrze. Biała flaga z czerwonym krzyżem powiewająca nad wejściem (jakby Niemcy mieli zwyczaj takie znaki szanować). Komendant ppor. Lucjan Kopeć „Radwan” i pięć pielęgniarzek w wykrochmalonych białych fartuchach. Instrumentarium dzięki zrzutom na poziomie porządnej medycznej placówki wojskowej. Sam barak należał do Baudienstu okupacyjnych batalionów niewolniczej pracy dla polskiej młodzieży. Stał pierwotnie w kamieniołomie pod Długim Kątem skąd po rozebraniu zabrali go partyzanci „Wira”. I proszę teraz wyobrazić sobie transport kilkunastu furmanek z ogromnymi prefabrykatami jadący kilkanaście kilometrów przez okupowany kraj,

każde spotkanie z kolumną niemiecką musiało się skończyć bitwą. Co za rozmach logistyczny. Potem pytanie jak to wszystko przenieść przez bagna? Ale w końcu barak stanął służąc partyzantom polskim a przy okazji i sowieckim.

Zapewne całego obiektu nie sposób dziś odbudować, ale gdyby zrekonstruować jego frontową ścianę a w zagajniku, który porósł to miejsce zaznaczyć jego obrys? To da pojęcie turyście o rozmiarze przedsięwzięcia, a reszty dopełnią znowu fotografie Edwarda Buczka. Na pierwszej - szpital 665 w pełnej krasie z wartą pełnią przez elewów szkoły wojskowej „Wira”. Na drugiej - wnętrze. Trzecia - to piękna uroczystość otwarcia leśnej placówki. Komenda obwodu w komplecie, dowódcy oddziałów, sanitariuszki przy zbitym z desek stole. Przemówienia, poczęstunek w aluminiowych wojskowych miskach i tajemnicze wiadro na środku stołu. Zawsze intrygowała mnie jego zawartość i dopiero syn Komendanta Piotr Bartoszewski oświecił mnie względem jego zawartości, ale jak dotąd nie mam jego upoważnienia by się z czytelnikami tą wiedzą podzielić.

Ten niezwykły szlak turystyczno edukacyjny - fotograficzny można by rozwinąć dalej aż do obozu „Woyny”. Stąd pochodzą zdjęcia całego dowództwa Inspektoratu Zamojskiego, dokumentacja świąt i patriotycznych uroczystości. Oczywiście myśląc o tym trzeba projektować przebieg trasy tak by nie ucierpiała na tym wyjątkowo cenna pierwotna przyroda, co powinno się chyba udać (nie tak dawno, kiedy robiłem sobie tam samotne patriotyczne rekolacje, w zagajniku koło szpitala wściekał się na mnie głuszec najwyraźniej upatrując we mnie intruza). Warto też pomyśleć o prawdziwym ożywianiu w porach największego „wysypu” turystów baz partyzanckich. Mamy świetne umundurowane i uzbrojone grupy rekonstrukcyjne, które pewnie uda się do tego namówić. Może w czerwcowe rocznicowe dni ożywić na początek obóz „Wira”. Na razie jednak rzucam hasło rozglądając się za sojusznikami i uważnie nasłuchując odzewu: Opowiedzmy na nowy sposób legendę partyzanckiego świata! ■

Petr Příhoda

(ur. 1939) doktor medycyny, psychiatra, psychoanalityk, publicysta. Prowadzi zakład etyki lekarskiej i humanistycznych podstaw medycyny, na 2 wydziale lekarskim Uniwersytetu Karola w Pradze. Pisywał do prowadzonych przez Pavla Tigrida Svědectví oraz do samizdatu. Po „aksamitnej rewolucji” pisał do „Lidových novin”, Mladé Fronty Dnes, Hospodářských novin i do Přítomnosti. Jest dziś redaktorem i autorem tekstów w Perspektivach. Jest komentatorem Czeskiego Radia 6 (wcześniej to było Radio Wolna Europa). Był doradcą czeskiego premiera Petra Pitharta.

Wzajemne relacje? Takie, o jakich się dziś mówi i pisze, które da się stwierdzić poprzez ankiety z badań demoskopowych, można dojrzeć najdalej w XIX wieku, bo przedtem było zupełnie inaczej. Sąsiedzkie relacje bywają często naznaczone konfliktem.

Te czesko-polskie raczej nie. Z wyjątkiem nieszcześliwej, bo z czeskiej strony zaborczej walki o Śląsk Cieszyński (1919) i polskiego rewolucyjnego (1938), też mającego charakter zaborczy, poważniejsze powody do sporów się nie pojawiały.

W czasach, o których mówimy „nowoczesne”, kiedy na zachód od Renu formują się nowoczesne narody, te relacje czesko-polskie (z wyjątkiem jednej osamotnionej próby zbliżenia) charakteryzują się raczej wzajemnym dystansem, czy raczej mijaniem się. Powiedziałbym, że jedni o drugich niewiele wiedzą. Jakby siebie „nie potrzebowali”.

Prawdą jest, że niejeden wykształcony i pobożny czeski katolik, jest nieświadomym polonofilem, ale ten jest u siebie w domu w silnie mniejszościowej sytuacji.

Losy obu narodów są bardzo odmienne, toczyły się, - każdy w innym polu grawitacji. Przez ich ziemie przebiegała inna krzywa sił europejskiej historii.

Niektóre znaczące różnice są oczywiste. Polska jest krajem większym, Polaków jest cztery razy więcej niż nas, kiedyś miewali ambicje imperialne, a w czasach zagrożenia swojego państwa sięgali

Petr Příhoda

tlum.: Tomasz Dostatni OP

Czesi i Polacy, ich wiara, pobożność i wzajemne relacje - część I

To sąsiedztwo występuje tutaj od czasów niepamiętnych, chociaż długość wspólnej granicy się zmieniała. I zaraz po języku słowackim, język polski jest czeskiemu najbliższy. Na Ziemi Ostrawskiej i na Śląsku Cieszyńskim można do dziś zauważyć, jak miejscowe dialekty z obu stron się do siebie upodabniają.

za miecz.

Czechów jest mniej, przez stulecia byli częścią większej całości, mają mniej jasną świadomość swojej państwowości. Nieprzyjacielem Polski byli silni i bezwzględni. W porównaniu z pruskim, a jeszcze więcej rosyjskim uciskiem, poddaństwo habsburskiemu Wiedniowi - było raczej życzliwe.

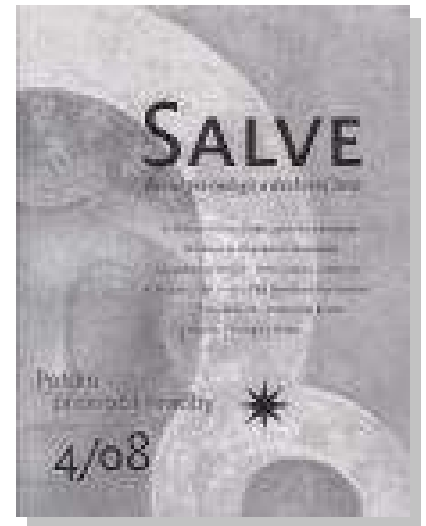
Polaków jest nie tylko więcej, ale stale są jeszcze społeczeństwem rozwarstwowanym. Ta społeczna struktura ma dla nich sens. W ich historii odgrywała do niedawna znaczącą rolę arystokracja. Nie tylko ta wysoka, ale głównie ta drobna „gentry”.

Takich protagonistów Czesi już dawno stracili. I dlatego odmiennie przebiega po obu stronach proces tworzenia nowoczesnych narodów. Polakom chodziło o odnowienie państwa. W Czechach nie występuje nic analogicznego do powstania Kościuszkowskiego (1794), listopadowego (1830), czy styczniowego (1863-1864). Czesi raczej starali się o zachowanie i rozwój języka.

Polacy mieli swoich wodzów, swoich poległych, swoich wygnanców na Sybir. Czeski los kształtowali, zupełnie inaczej, filologowie, literaci i lokalni społecznicy.

Nowoczesny naród czeski powstał z plebejskiego i małomiasteczkowego żywiołu. Jego postrzeganie świata w porównaniu z polskim jest bardziej prowincjonalne.

Niełatwo jest mi to mówić, czeski czytelnik może mi przypisać pogląd, który u nas określa się „samobieczowaniem”. Ale nie, jest to konstatacja bezspornych faktów, które powinniśmy po prostu przyjąć. Faktów, z których wypływa odmien-



ność „scenariuszy”.

I w tym jest nasze zadanie, jeśli można tak powiedzieć, dla każdej strony odmiennie. My, Czesi, możemy się sprawdzić i nie sprawdzić. Polacy również.

Czeski i polski los ma po prostu odmienny „format”, a także wrażliwość i ambicje. Na przykład stosunek do Rosji. Polacy mają z nimi realne doświadczenie; Czesi mają obraz Rosji wymarzony. Albo stosunek do Niemców w czasach nieszczęsnego rozprzestrzeniania się nacjonalizmu rozumianego jako namiastka religii. Polacy przyjmują go jako zagrożenie z zewnątrz.

W Czechach Niemcy byli od dawien dawna znaczącą częścią społeczeństwa, zwartą w sobie i rozproszoną. We wspomnianym czasie byli przyjmowani jako zagrożenie od wewnątrz.

Albo polski antysemityzm. Patrząc z perspektywy socjologicznej, polscy Żydzi stanowili znaczący

procent tej części społeczeństwa, o której mówi się burżuazja. To na gruncie polskim był powód do rywalizacji, ponieważ w Polsce mieszczaństwo było słabsze niż w Czechach.

Czeski antysemityzm był mniej agresywny, bo „opakowany” w czeską antyniemieckość. Żyd, który mówił po czesku, był chętnie przyjmowany. Po polskiej stronie jest jeszcze inny powód do rywalizacji. Zapytałem kiedyś o to polskiego kolegę, psychoanalityka. Powiedział, że źródłem polskiego anty-żydowskiego odczuwania, jest polskie pragnienie bycia narodem wybranym.

Czesi nie mają skłonności do mesjanizmu. Jeśli ktoś czasem w to wpadnie, to tylko na chwilę i nie ma to szerszego znaczenia. Nie odpowiada to, krótko mówiąc, naszemu myśleniu.

Nasza pamięć historyczna, zachowuje relatywnie żywe wspomnienie XX wieku. Tam odmiennosć losów obu narodów jest oczywista.

U końca I wojny światowej dla obu wyczerpanych walką stron (Ententy i państw centralnych) było jasne, że powstanie państwa polskiego jest nieuchronne.

Powstanie czeskiego (czeskosłowackiego) państwa wymagało na płaszczyźnie międzynarodowej znacznie większej pracy - oświatowej, dyplomatycznej i oportunistycznego wykorzystania nadarzającej się sytuacji. Początki koegzystencji Czechosłowacji i Polski nie były szczęśliwe. Obok walki o Śląsk Cieszyński widoczny był brak wsparcia z czeskiej strony Polski zagrożonej atakiem sowieckiej Rosji i ofensywą Budionnego (1920).

To są długi występujące po czeskiej stronie, które uniemożliwiły dalszą harmonię obu krajów. Polacy z kolei odbili to sobie po Monachium (1938).

Czechosłowacja była rozdzielana na kawałki a i oni wzięli sobie swoją część. Po roku Polska była rozdzielana na części, walczyła na dwóch frontach, nazistowskim i sowieckim.

Ta sytuacja wymyka się formułowi czeskiej empatii. Film Andrzeja Wajdy „Katyń” ma w Pradze skromny oddźwięk. I nazistowska okupacja przebiegała w obu krajach inaczej. W Polsce miała rozmiar ludobójstwa, w Czechach były likwi-

dowane tylko niektóre grupy ludności. „Wy, Czesi, w czasie wojny mogliście produkować i nagrywać filmy komediowe” - mówili mi polscy koledzy.

Także współpraca obu rządów emigracyjnych grzęzła. Sikorski nie rozumiał Beneszowych nadziei pokładanych w Związku Radzieckim. Podziemna Armia Krajowa walczyła przeciwko dwóm nieprzyjaciołom równocześnie. Dla Czechów to było niezrozumiałe.

Sowiecka dyktatura, w Polsce od końca wojny, w Czechosłowacji od 1948 roku, wytworzyła dla obu narodów pozornie tylko porównywalne warunki. Nazaczyła oba kraje podobnie, ale nie zbliżyła ich do siebie. To tylko ich komunistyczni przywódcy celebrowali „przyjaźń” pod sowiecką kuratelą.

Dopiero po sowieckiej inwazji na Czechosłowację (1968), w której obowiązkowo uczestniczyło i polskie wojsko, wspólną drogę do siebie odnaleźli polscy i czescy dysydenci.

Tłumaczył: Tomasz Dostatni OP

Tekst ten ukazał się w czasopiśmie Salve 4/2008, specjalnym numerze poświęconym Polsce i polskiej wierze i teologii, zatytułowanym „Polska pokonywać mury”. Wydawanym przez dominikanów czeskich i abp Dominika Dukę OP, prymasa Czech, a redagowanym przez młodych ludzi z różnych środowisk katolickich. Skrócona wersja tego tłumaczenia ukazała się w Gazecie Wyborczej.

Od redakcji: II część tekstu w kolejnym numerze BK Tanew.



Było...

Po żniwach

Święto plonów - czyli dożynki powiatowo gminne odbyły się 22 sierpnia w Gromadzie. Oprócz rolników uczestniczyli w nich m. in. wojewoda lubelski, Genowefa Tokarska, starosta biłgorajski, Marek Onyszkiewicz oraz wójt gminy Biłgoraj, Wiesław Różyński.

Uroczystość dziękczynienia za plony rozpoczął kolorowy korowód dożynkowych wieńców. Następnie wójt Różyński przywitał przybyłych gości i otworzył oficjalnie imprezę. Kilka słów do rolników skierowała też Genowefa Tokarska.

- Bóg nie oszczędził nas tego roku, obfite opady deszczy i rzeki, które wyszły z brzegów pustoszyły uprawy, gospodarstwa i domostwa. W tym niełatwym czasie, dziękujemy jednak Bożej Opatrzności za tę chwilę szczęścia i wytchnienia po ciężkiej pracy na roli. Dziękujemy rolnikom za trud i znoj i prosimy, Boże błogosław naszej pracy - mówiła.

Wojewoda wymieniła też kilka inwestycji, jakie wykonała gmina w ciągu ostatniego roku: np. wybudowanie Orlików, remontowana droga Książpol - Łukowa, czy Biłgoraj - Frampol.

Z kolei starosta Marek Onyszkiewicz najwięcej miejsca poświęcił sytuacji w szpitalu biłgorajskim, a konkretnie jego dzierżawie.

- Droga jaką Zarząd Powiatu wybrał by ratować zadłużony szpital, wydaje się na chwilę obecna jedyną. Rządowy plan „B” pozwoli nam umorzyć część blisko 47 mln zł zadłużenia placów. Nie odstąpimy od tej drogi mówił.

Po godzinie 14.00 rozpoczęła się uroczysta msza św., pod przewodnictwem ks. Adama Firosza, Kanclerza Kurii, podczas której poświęcono tegoroczne plony. Po mszy wręczono wyróżnienia i odznaczenia. Na koniec imprezy odbył się wspólny koncert Kapeli DREWUTNIA oraz Zespołu Śpiewaczego z Rudy Solskiej. Na zakończenie imprezy tradycyjnie odbyła się zabawa taneczna.

Będzie...

Nowy kierunek studiów w Biłgoraju Uniwersytet Rolniczy im. Hugona Kollątaja w Krakowie wspólnie z Zespołem Szkół Leśnych w Biłgoraju otworzą kierunek studiów - leśnictwo.

W maju tego roku Senat Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie podjął uchwałę o powołaniu Zamiejscowego Ośrodka Dydaktycznego Wydziału Leśnego w Biłgoraju. Pod koniec lipca w Krakowie przedstawiciele obydwu szkół podpisali porozumienie dotyczące powołania Zamiejscowego Ośrodka Dydaktycznego w Biłgoraju.

Szkoły zamierzają wraz z początkiem roku akademickiego 2010/2011 rozpocząć kształcenie studentów na kierunku Leśnictwo w trybie niestacjonarnym, na Wydziale Leśnym w Zamiejscowym Ośrodku Dydaktycznym w Biłgoraju, z siedzibą w Zespole Szkół Leśnych w Biłgoraju.

Zajęcia w Biłgoraju prowadzone będą przez wykładowców z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie; przez 6 semestrów raz w miesiącu w piątek, sobotę i niedzielę. Czwarty rok studiów połączony z napisaniem pracy inżynierskiej studenci musieli by już spędzić w Krakowie, na macierzystej uczelni.

Halina Ewa Olszewska



dziennikarka, poetka, prozaik, laureatka konkursów poetyckich. Publikowała m.in. na łamach: BGN "Sito", "ANGORA", "Poznaniak", "Tanew", "Kurier

Polski", "Magazyn Kresowy", "Gazeta Janowska", Biłgorajski Rocznik Społeczno-Kulturalny "ASPEKTY" i w innych pismach. Współzałożycielka Biłgorajskiego Towarzystwa Literackiego a następnie Biłgorajskiej Plejady Literackiej. Laureatka wielu konkursów poetyckich.

Spektakl „Drzewo” Sceny Połnej Fundacji Kresy 2000 wg dramatu Wiesława Myśliwskiego, w opracowaniu i nowej inscenizacji Stefana Szmidta, grany tej wiosny w biłgorajskim Parku Różnówka, zrobił na mnie jeszcze większe wrażenie niż przed laty w Nadrzeczcu. Pewnie dlatego, że mam wyjątkowy sentyment do tego miejsca, z arcyciekawą historią szambelana Nowakowskiego. Ten nieco zdziczały park wielu osobom przywołuje wspomnienia pierwszych zauroczeń, romantycznych spacerów i długich rozmów pod wielkim drzewem. Drzewem, które 8 maja 2010r. stało się głównym elementem naturalnej scenografii teatru.

Wiesław Myśliwski, wybitny polski literat, napisał „Drzewo” w latach osiemdziesiątych XX wieku. „Chłop wlaź na drzewo i zejść nie chce, a pod drzewem dzieje się Polska” - powiedział autor dramatu, przekazując swoje dzieło Kazimierzowi Dejmowskiemu. Prapremiera spektaklu odbyła się w 1988r. w Teatrze Polskim. Od tamtej pory wielokrotnie był grany na wielu scenach. W 2001r. po raz pierwszy podziwialiśmy „Drzewo” w inscenizacji plenerowej, zgromadzeni pod okazałą lipą nieopodal Domu Służebnego Polskiej Sztuce Słowa, Muzyki i Obrazu w Nadrzeczcu.

„Drzewo” jest metaforyczną opowieścią o polskiej wsi sprzed lat, z historią ojczyzny w tle, przedstawia chłopską mentalność, przywiązanie do ziemi, tradycji, symboli, do naturalnego systemu wartości, do porządku rzeczy, którego broni Grzegorz Duda, główny bohater. W tę rolę fenomenalnie wcielił się Stefan Szmidt.

Spektakl zaczyna się o zmie-

Wędrujące „Drzewo” i sztuka absurdu

Tegoroczna III Wiosna z Teatrem na Kresach trwała od 7 do 9 maja 2010r. Głównym organizatorem tradycyjnie była Fundacja „Kresy 2000”. Współorganizatorzy to Biłgorajskie Centrum Kultury, Tomaszowski Dom Kultury oraz Janowski Dom Kultury. Publiczność miała okazję zobaczyć dwa przedstawienia „Drzewo” i „Atrament dla leworęcznych”, pokazane we wszystkich trzech miastach.

rzchu. Na wielkim drzewie siedzi już dość leciwy Grzegorz Duda, z pętlą na szyi. Przywiązał się do gałęzi, gotów do desperackiego czynu na znak protestu, byleby tylko uratować symbol swojego świata, swoje drzewo, przewidziane do wycinki w związku z budową autostrady. Bosego staruszka na drzewie dostrzega ekipa robotników, która przybyła z piłami, siekierami. Bezskutecznie próbują Dudę przekonać, żeby z drzewa zszedł i ewentualnie... powiesił się na innym. - „Na swoim siedzę, wolno mi” - odpowiada Duda i dotykając sznura daje do zrozumienia, że jest gotów na wszystko. - Błaga go o zejście córka Zosia, zaklinając się na pamięć matki nieboszczki, ostrzega ojca przed gniewem Pana Boga. Jej mąż Franek coraz bardziej zdenerwowany, - krytycznie komentuje upór teścia. - Kiedy perswazja nie pomaga, próbuje go strącić tyczką. Duda dzielnie obstaje przy swoim i wspomina zięciowi, że jest tu obcy, a jedynie wzenił się w jego rodzinę i tę wieś, więc nie jest z tym miejscem emocjonalnie związany. Jedyne

kilkuletni wnuk Jędrzek trzyma stronę dziadka.

Prośbą i groźbą reaguje inżynier nadzorujący roboty związane z budową drogi, która ma być szeroka i długa od gór do morza i z powrotem, stąd pilna konieczność usunięcia drzewa, żeby w tym miejscu położyć asfalt. „W tym kraju nie ma zwykłych drzew, pod każdym ktoś stał, ktoś s..., to przeor sadził, pod tamtym spoczywali partyzanci... A jak nie drzewo, to grób, kamień, kapliczka. Tutaj rzeczy nie chcą być zwyczajne, wszystko w znak się przyobleka, a ludzie żyją w dwóch światach jednocześnie” konkluduje inżynier i zwraca się o interwencję do posturkowego.

Tymczasem pod drzewem gromadzą się znajomi Dudy, żywi i umarli. Z metafizycznych dialogów jawią się obrazy przeszłości z galerią niezwykłych postaci. Jednym z pierwszych duchów jest dzielny strażak Gabriel, który kiedyś spłonął ratując dziecko z pożaru.

Słychać muzykę z oddali. Pojawia się puzonista, a potem cała



orkiestra, która już dawno „na drugim świecie”. Kiedyś wracając z wiejskiego wesela trafili na minę. Pod drzewem spaceruje dystygowana para, to Hrabia z Hrabinią, których zaczepia posterunkowy. Groteskowa sytuacja, duchy myślą mu się z żywymi. Dudę odwiedza młoda piękna żona, zmarła jeszcze przy narodzinach córki. I wreszcie partyzant ze świata żywych. Opowiada wojenne przeżycia i wciąż ma pretensje do losu, że żyje za długo, zamiast zginąć od kuli śmiercią bohatera, albo zaraz po wojnie, gdy już wszystko zdążył opowiedzieć. I wreszcie umiera, biją dzwony, kondukt pogrzebowy w drodze na cmentarz, gdy nagle partyzant na chwilę zrywa się z trumny i wyznaje szpicelowi Poldkowi, że go zabił. - Co chwilę pod drzewo Dudy



przybiega jego córka Zosia z synkiem i wreszcie jej mąż, jakiś odmieniony, błądy. „Zakosił się na śmierć”. Stary Duda, chłop z dziada pradziada utwierdza się w przekonaniu, że do końca musi bronić drzewa, które jest znakiem dla żywych i umarłych, że tu ich wieś., gdzie ojczysta ziemia przodków i gdzie białe damy z dawnymi pieśniami.

Publiczność z wielką owacją oklaskiwała przedstawienie. Stefan Szmidt nie krył wzruszenia, wspominając ten park, zwany potocznie „Małpim Gajem” i to wielkie drzewo, na które z kolegami wdrapywał się w czasach dzieciństwa, a teraz po latach zagrał na nim znakomitą rolę aktorską.

Z inicjatywy Fundacji „Kresy 2000”, po ośmioletniej przerwie, od



jesieni 2009r. „Drzewo” jest grane pod hasłem „Pielgrzymowanie teatralne - od drzewa do drzewa”, z udziałem znanych polskich aktorów i biłgorajskich artystów, głównie ze Stowarzyszenia Teatr i Muzyka przy BCK. W biłgorajskiej edycji spektaklu oprócz Stefana Szmida m.in. zagrali: Tomasz Mędrzak jako inżynier, hrabina: Alicja Jachiewicz, hrabia: Marek Barbasiewicz. W rolę Zośki wcieliła się Ewa Gorzelak, jej mężem Frankiem w spektaklu jest prywatny mąż Zbigniew Dziduch. A ich synek Franek Dziduch wystąpił w roli Jędrka, wnuka głównego bohatera. W „Drzewie” gra też inne małżeństwo: Małgorzata Pitrulak jako stara baba i Zdzisław Wardejn w roli posterunkowego. Partyzantem jest Jerzy Złotnicki, Magdalena Warzecha - żoną Dudy. Sylwester Maciejewski (znany m.in. jako Solejuk z „Rancza”) gra robotnika usiłującego ściąć drzewo, a Stanisław Brudny rolę Sebastiana. Robert Kuraś, młody aktor wywodzący się z Biłgoraja, absolwent Warszawskiej Szkoły Teatralnej, znakomicie wcielił się w rolę strażaka Gabriela. Większość z tych aktorów znana jest z ról teatralnych, filmowych i seriali.

Znakomicie wcielił się w rolę kościelnego śpiewającego poeta z Sandomierza Marek Sochacki, znany z Biłgorajskich Spotkań z Poezją Śpiewaną i Piosenką Autorską. W roli puzonisty wystąpił Sławomir Pluta z Biłgorajskiego Stowarzyszenia Teatr i Muzyka.

- „Drzewo” to pretekst do namysłu nad stanem naszej pamięci i przestrzeni. To budzenie potrzeby refleksji i rozmowy nad losem czło-

wieka, nad tożsamością obecnego pokolenia Polaków, dziedzictwem przyrodniczym ojczyzny, nad tym, co wynika z przeszłości a stanowi teraźniejszość i co motywuje do kształtowania przyszłości. Z wysokości starych drzew chcemy świadczyć teatralnym tekstem Myśliwskiego o dwoistości konstrukcji świata i potrzebie godzenia materii i ducha w imię jego trwania. „Drzewo” to traktat o duchowości” mówi Stefan Szmidt. I kontynuuje misję pielgrzymowania teatru. Na wielkich lipach, jaworach, dębach, orzechach i innych drzewach, które „grają” w spektaklu, na zakończenie zawieszane są na nich na pamiątkę, niewielkie kapliczki z Chrystusem Frasobliwym, wyrzeźbione przez ludowego artystę. Spektakl od ubiegłorocznej jesieni „zawędrował” do Florianki w Roztoczańskim Parku Narodowym, był grany przed Pałacem w Wilanowie, w Muzeum Wsi Lubelskiej, w Tomaszowie, w Hołownie, w Biłgoraju, Janowie, w Gołębju nad Bugiem, w Bukowinie k. Tarnobrodu laureacie podobnie jak Fundacji Kresy 2000, prestiżowej nagrody PRO PUBLICO BONO, itd. De facto jest to pielgrzymowanie po całym kraju. W planach Fundacji „Kresy 2000” jeszcze wiele miejscowości z pięknymi drzewami i widzami, którym teatr pod skrzydłami Stefana Szmida dostarczy niezwykłych wrażeń. Zachęcam, bo sama tego doświadczyłam.

W niedzielę, 9 maja „Atrament dla leworęcznych”, sztuka Teatru „KTO” z Krakowa zgromadziła liczną publiczność w Sali widowiskowej Biłgorajskiego Centrum Kultury.

Będzie...**Apel do mieszkańców****Wkrótce sprzątamy**

W dniu 11 września 2010r. Nadleśnictwo Biłgoraj organizuje akcję "Sprzątania Świata".

Wyposażeni w worki i rękawice ruszymy, aby nie tylko posprzątać okoliczne lasy, ale przede wszystkim, aby dać wyraz troski o otaczającą nas przyrodę. Sprzątając swój kawałek ziemi mamy świadomość, że nie jesteśmy sami.

Apelujemy do tych, którzy chcą wnieść swój wkład w ochronę środowiska naturalnego. Pamiętajmy, że ta akcja nie jest jednorazową i tak naprawdę nie polega tylko na zbieraniu śmieci, ale uświadamianiu, że śmiecić nie należy. Akcja ma pomóc w wyrobieniu postaw i zachowań, które powinny stać się stylem naszego życia.

Liczymy na Państwa pomoc.

Spotykamy się o godzinie 9 w następujących punktach:

- leśnictwo Biłgoraj/ 665349088/ -siedziba nadleśnictwa.

- leśnictwo Wola / 665349057/ -Różnówka Stawy pod lasem.

- leśnictwo Bojary / 665349083/-Szkółka leśna „Bojary”

- leśnictwo Uchodów / 665349062/ - pod Urzędem Gminy Harasiuki.

- leśnictwo Huta / 665349054/ -gajówka „Pęk”

- leśnictwo Sól i Ciosmy/665349052/ leśniczówka w Ciosmach.

- leśnictwo Luchów / 665349056/ - parking w Luchowie.

- leśnictwo Zagumnie/665349075/ - gajówka koło Adamka.

- leśnictwo Rogóżnianka/665349071/ - parking przy drodze Banachy-Huta.

- leśnictwo Biszczka /665349079/ - Stary Bidaczów- okolice mostu.

- leśnictwo Nadzeczce /665349065/ - Nadzeczce pod remizą strażacką.

- leśnictwo Ujście / 665349066/ - Bukowa.

- leśnictwo Potok /665349067/ - Gózd

Lipiński /początek wsi.

Do zobaczenia na wspólnym sprzątaniu Nadleśnictwo Biłgoraj

Internet w Terespolu

W przyszłym roku w gminie Terespol Internet będzie dostępny w każdym domu, w dodatku bezpłatnie.

Wszystko w ramach programu „Wrota Lubelszczyzny”. Planowana jest informatyzacja gmin wiejskich w naszym województwie. Dzięki temu mieszkańcy naszego powiatu będą mieć możliwość załatwiania spraw urzędowych przez sieć.

Program zakłada objęcie zasięgiem całego obszaru gminy. Koszt powstania sieci prawie w 80 procentach pokryją środki unijne.

Wszystko dzięki temu że rząd przyjął już program „Internet pod strzechy”, który zakłada informatyzację gospodarstw wiejskich.

Współczesna komedia, wg scenariusza i w reżyserii Krzysztofa Niedźwiedzkiego, założyciela grupy kabaretowej „Chatelet”, wywoływała gromkie wybuchy śmiechu na widowni. Przy czym należy zauważyć, że ten rodzaj satyry do łatwych nie należy. Sedno absurdałnego humoru zwykle ma drugie dno.

Aktorzy wnoszą na scenę rekwizyty, trzy krzesła, stolik, drewniany wieszak. Scenografii dopełnia okno z czarną zasłoną. Posługują się oszczędną grą słów na rzecz gestu, mimiki. Nie znamy imion granych postaci, są anonimowe. Przedstawienie zaczyna się od reklamacji kapelusza, który „nie działa”, bo wiem klientowi, który go kupił, nie wrzucono do niego ani grosza, a spodziewał się zebrać co najmniej 100zł dziennie. Kiedy trwa dyskusja o kapeluszu, nagle pojawia się jakiś mężczyzną z brzęczącą muchą, którą próbuje schwytać i biega za nią jak opętany. Kolejnym absurdem jest sytuacja, gdy zmanipulowany pacjent musi zapłacić stomatologowi, żeby ten nie wyrwał mu zęba. Dentysta-sadysta - zamiast leczyć, radzi pozbycie się wszystkich zębów. Wystraszony pacjent płaci dużo więcej za rezygnację z usługi niż wynosi stawka za leczenie. Publiczność rozbawiła też scena w jadalni, gdzie w zupie makaronowej z ... ryżem klient wyławia osobiste przedmioty kucharza w postaci soczewek do oczu, zegarka, aparatu słuchowego itd.

Zabawnie przebiega oratorski popis z bułką w ustach. Równie nedorzeczny jest koncert w filharmonii, ponieważ skrzypiec nie ma

skrzypiec, zamiast tego ma grać na trąbce, a właściwie to dmucha w fortepian, natomiast dyrygent sugeruje, żeby dmuchał w bęben. Orkiestra wymienia się instrumentami, muzycy próbują swoich sił na instrumentach, na których nigdy wcześniej nie grali. W konsekwencji muzyczne wariacje. Kolejna scena dzieje się w wydawnictwie, do którego jakiś grafoman przysłał sto tysięcy wierszy. Porażony tą ilością wydawca postanawia odpisać wierszoklecie: „pana wiersze mnie gównem obchodzą”. Sęk w tym, że nie wie jak poprawnie pisze się słowo „gówno”, więc wykreśla je i - wysłała odpowiedź: „Pana wiersze mnie obchodzą”.

Można się doszukać pewnej logiki w groteskowym charakterze przedstawienia, na zasadzie skojarzeń z życia wziętych. Na przykład scena u dentysty obrazuje lęk i chęć ucieczki, skąd to znamy. Znalezienie włosa w zupie, albo nie daj Bóg muchy, nie wiem czy nie jest gorsze od soczewek kucharza. Nudne, przydługie i z kiepską dykcją przemówienia również nie są rzadkością. Teatr „KTO” pokazuje rzeczywistość w krzywym zwierciadle, nieco przerysowaną. Dla inteligentnego odbiorcy taki rodzaj komedii jest nie lada gratką.

Sztuka jest grana w następującej obsadzie: Jacek Buczyński, Maciej Małyś, Paweł Rybak i Maciej Słota, muzyka: Jerzy Zajac.

„Atrament dla leworęcznych” został nagrodzony Grand Prix Off Talia na XII Ogólnopolskim Festiwalu TALIA 2008 w Tarnowie.

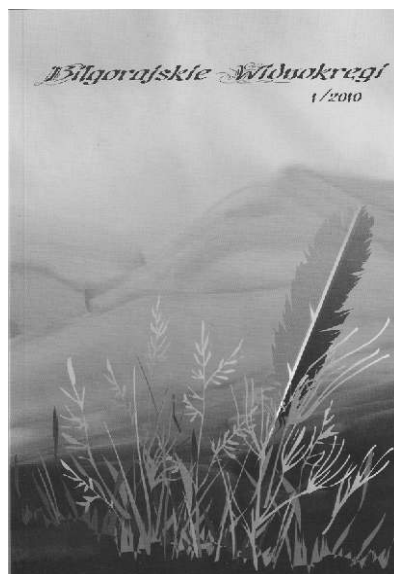


Z księgarskiej półki

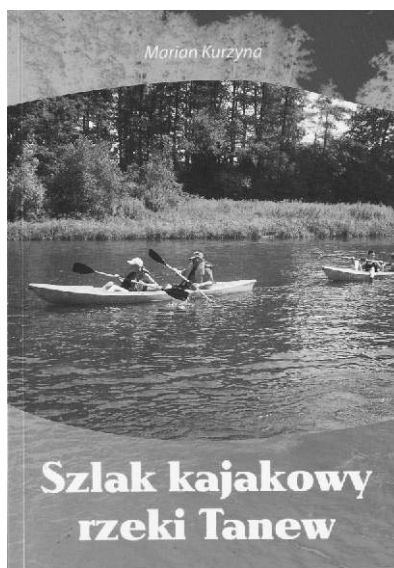
W ostatnim czasie ukazało się kilka ciekawych, regionalnych pozycji książkowych. Z pewnością niektóre z nich warto mieć w swoich domowych księgozbiorach.



• Dzieje Goraja, pod red. Zenona Łukasza Baranowskiego, Lublin 2010. Jest to pierwsza monografia tego miasteczka, powstała w dużej mierze jako zbiór prac magisterskich o mieście i okolicy. Jest tam jednak przedstawiona nie tylko historia miasteczka, ale też można znaleźć tam informacje o parafii, cmentarzu, kościele czy atrakcjach turystycznych gminy Goraj. Zbieranie informacji o historii Goraja rozpoczął nieżyjący już Marian Żółw. Książka powstała dzięki zaangażowaniu pracowników Gminnego Ośrodka Kultury i Urzędu Gminy w Goraju. Publikacja liczy aż 664 strony. Wzbogacają ją liczne zdjęcia i ciekawe „dodatki” wspomnienia i materiały źródłowe. Interesująca pozycja dla wszystkich, którzy interesują się historią regionu.



• „Biłgorajskie Widnokregi”, nr 1, 2010. To nowy almanach przygotowany przez Biłgorajską Plejadę Literacką i wydany przez Biłgorajskie Centrum Kultury. W publikacji znajdziemy utwory Haliny Ewy Olszewskiej, Iwony Danuty Startek, Ewy Bordzań, Jacka Zybury oraz wiersze młodych poetów, uczniów biłgorajskich szkół średnich.



• Marian Kurzyna, Szlak kajakowy rzeki Tanew, Biłgoraj 2009. Jest to ilustrowany przewodnik po rzece Tanew, gdzie autor chciał pokazać nie tylko przyrodnicze atrakcje rzeki Tanew, ale też ukazać

Dorota Skakuj

regionalistka, pasjonatka historii, autorka publikacji o tematyce związanej z historią i tradycjami Ziemi Biłgorajskiej



kulturę i historię okolicznych miejscowości. Książeczkę wzbogacają mapki i ładne zdjęcia. Trasę od Narola do Tanwi podzielono w przewodniku na pięć dni. Przewodnik może być interesujący także dla tych, którzy nigdy w życiu kajakiem nie płynęli.



• Edward Łukaszczyk, Wspomnienia z przeszłości. Biłgoraj 1939-1944, Biłgoraj 2010. Niewielka książeczka zawierająca wspomnienia mieszkańca Biłgoraja z lat okupacji, a trzeba podkreślić, że wspomnień wojennych o naszym mieście jest niestety bardzo mało. W latach II wojny pan E. Łukaszczyk był młodym chłopakiem mieszkającym przy ulicy Lubelskiej.





Piotr Flor

pasjonat, regionalista, długoletni współpracownik gazety Tanew, autor publikacji dotyczących mało znanych faktów z historii Biłgoraja

Michał Wazowski urodził się 8 września 1882 roku w Zamościu. Po ukończeniu szkoły powszechnej rozpoczął studia wyższe na wydziale fizyczno-matematycznym słynnego Uniwersytetu w Kijowie, zwanego wówczas Kijowskim Uniwersytetem Imperatorskim św. Włodzimierza. Studiował zatem na uczelni, która od początku swego istnienia, tj. od 1834 roku, aż do kolejnego zrywu narodowego, była niemal całkowicie polską wszechnicą, powstałą na podwalinach zamkniętego przez zaborcę Uniwersytetu Wileńskiego oraz Liceum Krzemienieckiego.

Już w trakcie studiów dał się poznać jako gorliwy patriota, albowiem bez wahania wziął udział w wiecu zorganizowanym w grudniu 1905 roku w Skierbieszowie przeciwko władzy carskiej i jej polityce rusyfikacyjnej, za co oczywiście został aresztowany zarówno w styczniu 1906, jak i w czerwcu 1907 roku. Spędził wówczas za kratkami więzień lubelskich łącznie ok. 8 tygodni. Tam też zetknął się po pierwszy ze Stanisławem Torem i Stefanem Mańkowskim, urzędnikiem Ordynacji Zamojskiej, późniejszym społecznikiem biłgorajskim, następnie zaś starostą lubartowskim oraz burmistrzem Szczebrzeszyna i Międzyrzecza.

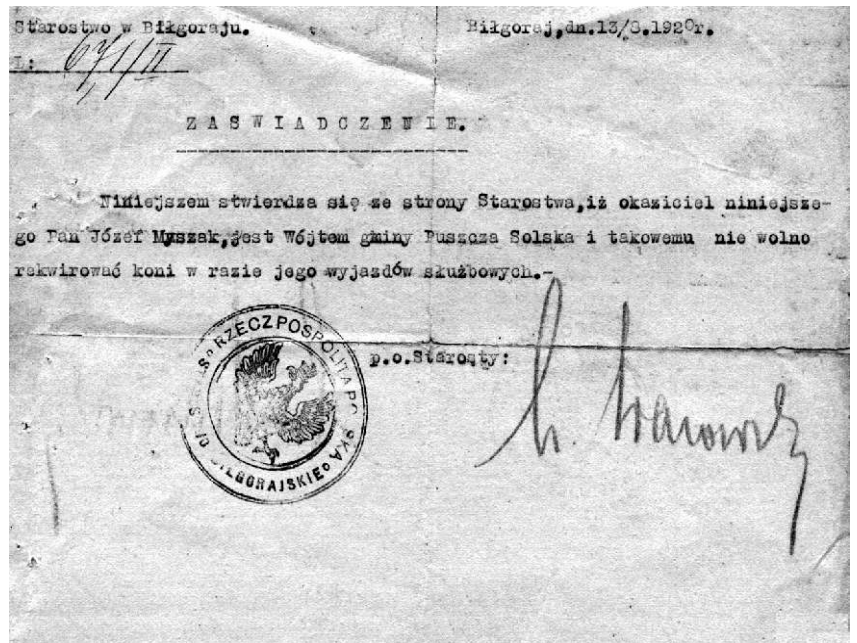
Po ukończeniu studiów Michał Wazowski pracował najpierw jako chemik w Selekcji i Handlowni nasion buraczanych T. Szumowskiego. (Dokładnie miało to miejsce w latach 1913-1916), po czym przybył do Biłgoraja, którym w owym czasie zarządzał komisarz rządowy Michał Mazurkiewicz.

Warto zauważyć w tym miejscu fakt, iż osiedlił się tutaj jeszcze w trakcie I wojny światowej, kiedy nasze zrujnowane miasto nękał zarówno głód, jak i epidemia cholery, podczas której zmarło przynajmniej kilkuset mieszkańców.

Bardzo szybko, bo już 25 maja 1917 roku został wybrany na

Niedoceniony starosta

Prawdopodobnie niewielu obecnych mieszkańców Biłgoraja ma świadomość, iż do grona wybitnych ludzi, związanych z naszym miastem, dołączył niegdyś Michał Wazowski. Ów człowiek, uznany przez współczesnych za chwiejnego oraz nieudolnego urzędnika, okazał się w rzeczywistości nie tylko dobrym starostą biłgorajskim, lecz także jednym z najbardziej zaangażowanych społeczników. Co więcej, przez swój głęboki patriotyzm został on później nawet wielkim bohaterem. Poznajmy zatem bliżej jego sylwetkę.



Zaświadczenie dla wójta Józefa Myszaka wystawione osobiście przez Wazowskiego

sekretarza miejscowego Komitetu Ratunkowego, czyli jedynej organizacji społecznej w powiecie, działającej zaledwie od kilku miesięcy, której celem było udzielanie pomocy najbardziej pokrzywdzonym przez wojnę. Jej członkowie zajmowali się głównie sprzedażą lub rozdawnictwem żywności dla najbardziej potrzebujących, co nie było takie proste ze względu na kwitnącą na tym obszarze spekulację żywnością. Ów komitet był ponadto także głównym reprezentantem interesów miejscowej ludności wobec władz austro-węgierskich.

Kierował nim początkowo właściciel majątku ziemskiego Antoni Kierski z Księżpola, którego później

zmienił, poznany przez Wazowskiego w areszcie, Stefan Mańkowski. Oba wspomnianych działaczy wspierał zaś osobiście, jako zastępca, sam proboszcz biłgorajski ks. Czesław Koziolkiewicz. Funkcję sekretarza tej organizacji przyszły starosta biłgorajski pełnił do końca października 1918 roku. Prawdopodobnie dzięki temu poślubił on z czasem Marię Kierską, z którą doczekał się dwóch synów: Andrzeja i Adama (w 1925 i 1926 roku).

Jego zaangażowanie w sprawy miasta zaczęło powoli doceniać. Po raz pierwszy stało się to za urzędowania komisarza ludowego Wacława Matrasia, kiedy to mianowano go jego oficjalnym zastępcą (w listo-

padzie 1918 roku). Nieco później, tj. 26 maja 1919 roku powtórnie obrano go zastępcą, tym razem już za rządów Stanisława Fijałkowskiego, którego właśnie wybrano na komisarza rządowego dla Biłgoraja.

Gdy ten w maju 1920 roku, już jako starosta, odchodził na podobne stanowisko do Chełma, wyznaczono na jego miejsce Michała Wazowskiego, będącego akurat starostą zamojskim. Niestety on także tę najważniejszą funkcję państwową w mieście sprawował tylko przez kilka miesięcy (dokładnie od czerwca do końca grudnia 1920 roku), gdyż podobnie do Fijałkowskiego, bardzo szybko przeniesiono go gdzieś indziej. Pomimo tego zdążył jednak dokonać wiele dobrego dla ówczesnej i obecnej społeczności miejskiej.

Albowiem to właśnie w czerwcu tegoż roku zgłosił się do biłgorajskiego urzędu powiatowego wójt Puszczy Solskiej Józef Myszak, z błaganiem o pomoc w ratowaniu historycznej parafii wiejskiej, jemu jako gminie podlegającej, która tylko dzięki dyplomatycznej interwencji Wazowskiego (pomagającemu mu odtąd skrycie w celu uniknięcia konfliktu z proboszczem Koziołkiewiczem), została po wielu perypetiach ostatecznie zachowana i znajduje się obecnie w granicach miasta.

Jak już wcześniej pisałem o tym, wyłącznie dzięki tej wzajemnej kilkumiesięcznej współpracy między nimi doszło w końcu do powstania tego wspaniałego gmachu kościoła p.w. św. Marii Magdaleny, będącego dzisiaj nie tylko atrakcją turystyczną miasta, lecz także jego niezaprzeczalną chlubą, obok nie mniej wspaniałych pofranciszkańskich obiektów sakralnych.

Ale działalność niedocenionego starosty wcale się na tym wtedy nie skończyła. Gdy tylko nasze państwo, wyniszczone I wojną światową, znalazło się w stanie wojny ze Związkiem Radzieckim (jeszcze w 1920 roku), został członkiem miejscowego Komitetu Obrony Narodowej, powołanego do życia na wiecu patriotycznym w Biłgoraju.

Wśród jego członków, obok przewodniczącego, notariusza Franciszka Wolskiego, znalazł się także kilkakrotnie wspomniany ks. Koziołkiewicz, wójt Myszak, Józef Skowiężak, Stanisław Matraś, Władysław Matuszkiewicz i wielu innych.

Komitet ten oprócz werbowania

ochotników do Wojska Polskiego, zbierał także ofiary pieniężne, które zostały przekazane do Skarbu Państwa. Już w pierwszych dniach swojej działalności dzięki niemu skierowano do Zamościa ponad dwudziestu młodych ludzi (w tym 23-letniego Jana Kierskiego), z 10 końmi. Zostali oni wcieleni do 1 Wołyńskiego Pułku Jazdy mjr Jaworskiego i wzięli udział w ciężkich walkach z 1 Armią Konną marszałka Siemiona Budionnego, zatrzymując ją pod Zamościem.

I tu jego powiązania z naszym miastem niestety się kończą, bowiem dokładnie 16 grudnia 1920 roku, mocą reskryptu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Michał Wazowski w uznaniu swych zasług został przeniesiony do Radzyna, w którym swoje urzędowanie rozpoczął pod koniec lutego 1921 roku.

Odtąd przez wiele lat pełnił funkcję starosty radzyńskiego, nastę-

niałej, stając się jej pierwszym wiceprezesem oraz przewodniczącym sekcji propagandowej.

Na marginesie warto wiedzieć, iż organizacja ta powstała dopiero w 1930 roku i propagowała wśród społeczeństwa polskiego sprawy związane z Morzem Bałtyckim, mając niniejszym za cel rozbudowę floty morskiej oraz rzecznej, a także pozyskanie terenów pod osadnictwo i kolonie dla Polski. To właśnie z jej inicjatywy zorganizowano zbiórke pieniężną, dzięki której zbudowano nasz słynny okręt podwodny „Orzeł”. W przededniu II wojny światowej liczyła ona już ok. miliona członków.

Na przełomie lat 1939-1940 Michał Wazowski założył siałkę Komendy Obrony Polskiej w Zamościu. W międzyczasie zdążył jeszcze położyć duże zasługi przy renowacji swego zabytkowego miasta. Ale z pewnością najwspanialszym dziełem jego życia stało się ocalenie



Muzeum Martyrologii Rotunda w Zamościu. Symboliczne nagrobki ofiar egzekucji oraz więźniów zamordowanych w obozach koncentracyjnych znajdują się na całym obwodzie. Na zdjęciu nagrobki burmistrza Zamościa i jego syna Andrzeja.

pnie zaś Janowski (w Janowie Podlaskim). Dopiero w latach trzydziestych ubiegłego wieku przeniósł się, jak się potem okazało już na zawsze, do Zamościa. Tam został najpierw (tj. w 1932 roku), przewodniczącym Zarządu Miejskiego, a dwa lata później burmistrzem. Tu także wstąpił do Ligi Morskiej i Kolo-

obrazu Jana Matejki „Hołd Pruski”. A było to tak.

Kiedy 1 września 1939 roku Niemcy zaatakowali Polskę, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, profesor Feliks Kopera oraz współpracujący z nim dyrektor Muzeum Przemysłowego inż. Eugeniusz Tor postanowili ukryć cenny obraz przed



Grupa aresztowanych w 1907 r. przed gankiem nowego więzienia. Po bokach 4 stróży więziennych. I rząd u góry od strony lewej: Stanisław Tor, Robert Pieńczykowski, Michał Wazowski, Jakub Joszt, Roman Joszt, Piotr Wodyk; poniżej Jan Franczak, Julian Kasprzycki, Jan Joszt, Ludwik Głowacki, Płócienniak, Jan Joszt, Józef Moskwa.

okupantem. Pierwotnie chcieli go zakopać w skrzyni w lesie pod miastem. Jednak jeszcze tego samego dnia podjęli decyzję o przetransportowaniu go do Zamościa.

Bezpieczeństwo owego przedsięwzięcia zwiększał fakt, iż burmistrzem był tu właśnie Michał Wazowski, z którym dyrektor Muzeum Przemysłowego był rodzinnie skoli-gacony. (Ożenił się bowiem z jego siostrą). Na nim więc spoczęła odpowiedzialność za wykonanie tegoż zadania. Muzealnicy liczyli przy tym, że wojska niemieckie nie dotrą tak daleko.

Obraz dotarł bezpiecznie na miejsce dopiero 2 września wieczorem. Samochód wraz ze skrzynią ukryto na noc w remizie strażackiej. Nazajutrz Eugeniusz Tor wraz z burmistrzem, starostą zamojskim Marianem Sochańskim oraz rektorem tutejszego kościoła św. Katarzyny ks. Wacławem Staniszewskim ustalili, iż najlepiej będzie schować „Hołd Pruski” w podziemiach jego świątyni.

Dlatego zaraz po pierwszym bombardowaniu miasta, (tj. 3 września) przewieziono go pod osłoną nocy pod ów kościół. Tam też, po powiększeniu otworu okiennego, umieszczono ważącą prawie 500 kg skrzynię z płótnem. Wszyscy zatrudnieni do tej pracy przez Wazowskiego zostali oczywiście

zaprzysiężeni.

Kiedy 27 września 1939 roku wkroczyli do Zamościa Rosjanie, ktoś zdradził im miejsce ukrycia obrazu. Dwa dni później Sowieci rozbili skrzynię, rozpruli cynkową rurę i wywlekli go na posadzkę. Cały rulon przekłuli bagnetem aż w ośmiu miejscach szukając w nim kosztowności. Dopiero po całkowitym odwinięciu pozostawili go w spokoju, plądrując świątynię.

Jego naprawy, za wiedzą ks. Staniszewskiego, dokonano prawie po miesiącu, po powrotnym przybyciu Niemców do miasta, tj. 20 października. W tym celu przygotowano wcześniej odpowiednie ilości papieru, prześcieradeł, nici i igieł.

Dla zachowania wszystkiego w tajemnicy prace konserwatorskie były prowadzone zawsze podczas Mszy św. Tak zabezpieczone dzieło ponownie zapakowano do skrzyni.

Ksiądz rektor dostrzegł w rabunku kościoła nieoczekiwaną szansę dla płótna Matejki. Po konsultacji z burmistrzem Wazowskim zgłosił włamanie niemieckim władzom wojskowym, prosząc o dokonanie oględzin i wydanie stosownego zaświadczenia. Jednak przeczuwając, że Niemcy szybko wpadną na trop zamojski, zażądał od niego przeniesienia skrzyni w bardziej bezpieczne miejsce. Wówczas nasz bohater dla zmylenia okupanta

postanowił przewieźć „Hołd Pruski” z powrotem do Krakowa.

Za zgodą żandarmerii niemieckiej zorganizował on oficjalny wyjazd samochodem ciężarowym po sól do Wieliczki, nadzorując osobiście, wraz z synem Andrzejem oraz Kazimierzem Buczkowskim, kustoszem krakowskim, przysłanym specjalnie w tym celu, przewiezienie obrazu na miejsce.

Dotarł on tam bezpiecznie 17 listopada 1939 roku. Ukryty najpierw na zapleczu Muzeum Przemysłu, a następnie w magazynach Muzeum Czapskich, doczekał szczęśliwie końca wojny. Dopiero na początku 1945 roku przetransportowano go do Sukiennic, gdzie został poddany konserwacji i w niedługim czasie udostępniony zwiedzającym.

Dyrektor Muzeum Narodowego Feliks Kopera został rzecz jasna zabrany na gestapo już na początku września 1939 roku, gdzie szczegółowo wypytywano go o „Hołd Pruski”. Jednak sprawa dziwnym trafem wtedy szybko ucichła.

Dopiero w maju 1940 roku Niemcy rozpoczęli śledztwo na nowo. Przesłuchiwany przez nich ks. Staniszewski wybronił się wprawdzie stosownym zaświadczeniem o włamaniu do jego kościoła, lecz miesiąc później, wraz z pomagającym mu ks. Franciszkiem Trochonowiczem, i tak został zatrzymany i obaj znaleźli się w obozie koncentracyjnym, który cudem przeżyli.

Tylko główny organizator całego przedsięwzięcia Michał Wazowski stanął przed plutonem egzekucyjnym za swoją działalność konspiracyjną. Stało się to 8 sierpnia 1941 roku, kiedy to zabrano go na Zamojską Rotundę razem z dwoma synami: Andrzejem i Adamem. Tam też wszyscy zakończyli swe jakże piękne życie. ■



Zasłużeni i honorowi obywatele Miasta Biłgoraj

Minęło dziesięć lat od pierwszej uroczystej sesji rady miasta, gdy z inicjatywy ówczesnego burmistrza Stefana Oleszczaka, zarazem pomysłodawcy, wyłoniono pierwszych honorowych obywateli miasta Biłgoraj. Od tego czasu radni miasta nobilitowali 20 honorowych i 21 zasłużonych obywateli miasta Biłgoraja. Pięciu obywatelom przyznano ten tytuł pośmiertnie. Sześć zakładów pracy uhonorowano tytułem zasłużony dla Miasta Biłgoraj.

W 2000 roku listę Honorowych Obywateli naszego miasta otworzył - Stefan Szmidt, aktor teatrów warszawskich. Ma na swym koncie wiele ról filmowych i teatralnych, reżyser, zarządca Fundacji Kresy 2000 - Dom Służebny Polskiej Sztuce Słowa, Muzyki i Obrazu, twórca znanej w całym kraju cyklicznej imprezy plenerowej „Żałosne Radosne” o biłgorajskich sitarzach, obecnie dyrektor BCK. Prócz niego wyróżnieni zostali burmistrzowie Biliny (Czechy), partnerskiego miasta Biłgoraja: Cestimir Duda i Vlastimil Aubrecht także Manfred Salinger z miasta partnerskiego Crailsheim.

W 2002 roku „Honorowymi Obywatelami Miasta Biłgoraj” zostali: były proboszcz parafii Chrystusa Króla - opiekun NSZZ „Solidarność” - ks. Stanisław Kuczko, także ks. infułat Edmund Markiewicz, były dziekan dekanatu Biłgoraj Południe, ks. profesor dr hab. Franciszek Greniuk - Kanclerz Kurii Diecezji Zamojsko - Lubaczowskiej, ks. Florian Fornal - były proboszcz parafii pw. Św. Marii Magdaleny.

Do roku 2008 nie przyznawano tytułów ze względu na wymogi Instytutu Pamięci Narodowej. Po staraniach burmistrza Janusza Rosłana, rajcy miejscy w 2008 roku przyznali kolejne tytuły „Honorowy Obywatel Miasta Biłgoraj”. Otrzymał je:

- prof. dr hab. Stanisław Grabias - pracownik naukowy UMCS Lublin. Urodzony w Soli k/Biłgoraja, absolwent Liceum Pedagogicznego w Biłgoraju w 1961 roku.

- prof. dr hab. Jerzy Markiewicz - autor licznych książek o żołnierzach AK i BCH walczących w lasach Puszczy Solskiej. Biłgorajanin od wielu pokoleń.

Dzięki wyżej wymienionym powstała w naszym mieście Filia UMCS.

- Janusz Palikot - poseł na sejm RP, twórca zakładów m.in. „AMBRA”, sponsor licznych fundacji i organizacji w Biłgoraju i Lublinie.

- Andreas Raab - burmistrz Crailsheim (Niemcy) miasta partnerskiego Biłgoraja.

- Samuel Atzmon Wircer - aktor, dyrektor Teatru Narodowego w Tel Avivie (Izrael), uczęszczał przed wojną do szkoły powszechnej w Biłgoraju.

Rok 2008 - Tytuł „Zasłużony dla Miasta Biłgoraj” otrzymali:

- Witold Dembowski - prawnik, literat, społecznik, prezes Związku Inwalidów Wojennych

- Wiktoria Klechowa - publicystka, regionalistka, społecznik, działka w Biłgorajskim Towarzystwie Literackim.

- Tadeusz Kuźmiński - przedsiębiorca, sponsor, współtwórca Miasteczka na Szlaku Kultur

- ks. kanonik Jan Maksim - Dziekan Dekanatu Biłgoraj Południe

- kpt. Stanisław Mazur - prezes Świątowego Związku Żołnierzy AK, działacz społeczny, literat w Biłgorajskim Towarzystwie Literackim.

- Andrzej Jan Miazga - przedsiębiorca, główny sponsor i prezes II-ligowej „Szóstki” (piłka siatkowa)

- Stefan Oleszczak - burmistrz miasta w latach 1992 - 2002, działacz sportowy, społecznik

- Helena Prochowska - działaczka kultury, reżyser teatru amatorskiego w PDK - lata 60 i 70, radna.

- Eugeniusz Sołtysiak - wychowawca wielu pokoleń młodzieży, długoletni nauczyciel Liceum Pedagogicznego i ZSMiE. Trener lekkoatletyki, działacz sportowy

- Czesław Świca - samorządowiec, społecznik, działacz „Solidarności”

- Marian Ledwójcik - nauczyciel, dyrektor szkoły - ZSZ nr 1 i jej założyciel, dyrektor Zakładów Dzieciarskich „Mewa”. Wieloletni peda-

Kazimierz Szubiak

długoletni nauczyciel wychowania fizycznego, działacz sportowy.



gog i społecznik. Prezes Zarządu Rejonowego PCK.

Pośmiertnie przyznano tytuły osobom:

- Jan Kowalski lekarz pediatra, przyjaciel dzieci i młodzieży, społecznik.

- Czesław Nizio dyrektor BCK, dyrygent i założyciel Orkiestry Dętej, która reprezentowała nasze miasto w kraju i zagranicą.

- Maria Siniarska - Kwiecień długoletni lekarz medycyny, oddana pracy społecznej na rzecz miasta i mieszkańców.

W 2008 r. przyznano też tytuły 3 firmom:

- „AMBRA” S.A.

- „Black Red White” S.A.

- „MODEL Opakowania” Sp. zo.o.

22 maja 2009 „Honorowymi Obywatelami Miasta Biłgoraj” zostali wybrani:

- Josef Horacek - starosta Biliny (Czechy)

- Kostas Arvasevicius - mer Kelme (Litwa)

- Wiktor Sapożnikow - mer Nowowolyńska (Ukraina)

- Henryk Wujec - poseł na sejm RP, działacz społeczny i solidarnościowy, biłgorajanin od urodzenia, uczestniczący w życiu kulturalnym i gospodarczym naszego miasta.

Tytuł „Zasłużonego” przyznano pośmiertnie:

- Ignacemu Czarneckiemu - działaczowi społecznemu, który wiele pracy poświęcił powstającemu w naszym mieście szkolnictwu i służbie zdrowia (wieloletni prezes PCK)

„Zasłużone” instytucje to:

- Biłgorajska Wioska Dziecięca SOS

- Zakłady Dzieciarskie „MEWA”

- Firma „Pol - Skone”

28 sierpnia 2009 roku w rocznicę powstania Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej przyznano tytuły „Zasłużonych dla Miasta Biłgoraj” byłym, długoletnim dyrektorom tej firmy:

- Czesławowi Łukasikowi

- Władysławowi Romańczukowi

Na uroczystej sesji Rady Miasta 21 maja 2010 roku przyznano tytuły: „Honorowy Obywatel Miasta Biłgoraj” osobom:

- Urszula Koziół - urodzona w Rakówce k/Biłgoraja, wybitna polska poetka, prozaik. Autorka felietonów i utworów dramatycznych dla dzieci, zamieszkała we Wrocławiu. Redaktorka „Odry” i współpracownik teatru „Kalambur”, znana z wiersza: „Biłgoraju, pajdo kraju...”

- Kazimierz Węgrzyn - potomek starej biłgorajskiej rodziny, piłkarz „Łady” oraz wielu klubów ekstraklasy, reprezentant Polski w piłce nożnej. Rozegrał 20 meczów. Obecnie komentator meczów ekstraklasy i ekspert piłkarki

„Zasłużeni dla Miasta Biłgoraj:

- Bronisław Bauer - długoletni pedagog Liceum Pedagogicznego i Zespołu Szkół Mechaniczno - Elektrycznych, działacz solidarnościowy. Udzielał pomocy rodzinom osób internowanych. Brał czynny udział w budowie struktur samorządu lokalnego (1989r.)

- Janina Buczek - Różańska - urodzona w Bukowinie, wraz z rodzicami i młodszym bratem została deportowana do obozu na Majdanku w ramach akcji pacyfikacyjno - wysiedleńczej. Obecnie jest członkiem zarządu Towarzystwa Opieki nad Majdankiem. Działaczka społeczna od pierwszych lat po wyzwoleniu. Odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

- Elżbieta Jadwiga Dzido - biłgorajanka, oddana miastu i mieszkańcom w pracy społecznej. Przyjaciółka młodzieży, jej wychowanki wielokrotnie zdobywały laury w ogólnopolskich olimpiadach pielęgniarstwa. Od 1976 r. pełni funkcję wiceprezesa Zarządu Rejonowego PCK.

Pośmiertnie tytuł „Zasłużonego dla Miasta Biłgoraj” otrzymał:

- Edward Margiela - założyciel i długoletni dyrektor Liceum Pedagogicznego w Biłgoraju. Po 6 - letnim pobycie w obozie jenieckim w Murnau pracował jako nauczyciel wychowania fizycznego i języka niemieckiego w gimnazjum i liceum ogólnokształcącym. Dzięki jego staraniom wybudowano gmach Liceum Pedagogicznego potem Zespołu Szkół Mechaniczno - Elektrycznych. Brał czynny udział w życiu sportowym i kulturalnym naszego miasta, był przyjacielem młodzieży. Zmarł nagle w czasie matur - 19 maja 1966 r. mając 56 lat. ■

Aniela Dudekowa

Pozwolę sobie zaproponować profesor Aniellę Dudekową, jako kandydatkę do tytułu „Zasłużony dla Miasta Biłgoraj”. Równocześnie apeluję do czytelników: jeśli macie swoje propozycje „Zasłużonego dla Naszego Miasta” piszcie na adres redakcji „Tanew” z dopiskiem „Zasłużeni - Honorowi”

Moja nauczycielka a później koleżanka z pracy pani Aniela Dudekowa zaraziła mnie, tak jak moich kolegów: Stefana Szmidta, Stefana Oleszczaka, Józefa Jasielskiego i innych miłością do teatru. Będąc w maturalnej klasie występowałem, jako młody oficer w sztuce

muzyczne w Krzemieńcu. W międzyczasie w 1937 r. zdała egzamin na wyższym kursie nauczycielskim w Warszawie ze śpiewu. Wraz z mężem „osiadła” w szkole w Teresopolu przed wyjazdem do Lwowa. Tu zastała ich wojna. Pani Aniela włączyła się do konspiracji. Jako łączniczka oddziałów AK na terenie Zwierzyniec Zamość Hrubieszów.

Po wyzwoleniu w 1945 r. podjęła pracę w liceum ogólnokształcącym w Biłgoraju jako nauczyciel śpiewu i wychowania fizycznego. W 1952 r. otrzymała dyplom nauczyciela szkół średnich i zakładów kształcenia nauczycieli w zakresie wychowania fizycznego po ukończonych studiach w Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie.

W latach 1950-1962 brała czynny udział w seminariach teatralnych i choreograficznych uzyskując fun-



Aniela Dudekowa na balu studniówkowym w roli prowadzącej (pierwsza z prawej)

„Warszawianka” - Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii pani Anieli Dudekowej. Dodam, że była to udana kreacja i pozostawiła niezapomniane wrażenia wśród mieszkańców naszego miasta. Głównie rodzin i uczniów Liceum Ogólnokształcącego. Mój pobyt w „ogólniaku” to występy w zespole tanecznym także chórze pod kierunkiem profesor Anieli Dudekowej.

Życiorys:

Pani Aniela Dudekowa urodziła się w Płoskiem k/Zamościa, gdzie kończyła szkołę podstawową, średnią i równocześnie muzyczną im. Karłowicza. 2 lata pracowała jako nauczycielka w Gorajcu i Rudniku. W 1938 r. ukończyła 3 letnie ognisko

kreację instruktora I kategorii. Wszystkie imprezy kulturalne w mieście miały oprawę artystyczną profesor Anieli Dudekowej. Oprócz występów chóru i zespołu tanecznego, w których występowałem przez 4 lata mojego pobytu w liceum ogólnokształcącym, działała nieustannie zespół teatralny. Pierwsza inscenizacja to sztuka Lucjana Rydla - Betlejem”.

Potem nastąpiły pamiętne widowiska: „Sobótki” plenerowa (stadion przy rzece Łada) oraz sztuki teatralne: „Warszawianka” - Stanisława Wyspiańskiego, „Balladyna” - Juliusza Słowackiego, „Śluby Panieńskie” - Aleksandra Fredry, „Stara Baśń” - J.I. Kraszewskiego, „Świeczka zgasła” Aleksandra Fredry z udziałem



Inscenizacja „Warszawianka” Stanisława Wyspiańskiego, przygotowana przez uczniów LO pod kierownictwem Anieli Dudekowej (dolny rząd, trzecia z prawej)

późniejszych aktorów scen polskich Barbary Nieścior, Stefana Szmida, Józefa Jasieleskiego (reżyser). Wiele widowisk nagradzanych było na przeglądach teatrów szkolnych i amatorskich w Lublinie. Z okazji 400 - lecia Biłgoraja pani Aniela przygotowała widowisko plenerowe „Nadanie praw miejskich Biłgorajowi”. Tę kostiumową inscenizację tłumnie oglądali mieszkańcy miasta i okolic. Od lat 50-tych do 70-tych wszystkie niemal uroczystości państwowe, szkolne, regionalne miały oprawę artystyczną przygotowaną przez panią Anielę Dudekową. Pani Aniela uczestniczyła, jako nauczycielka wychowania fizycznego we wszystkich zawodach sportowych jako nauczyciel - trener - sędzia. Jej dewiza brzmiała: „Jeżeli chcecie być młode, zgrabne i ładne musicie uprawiać sport, gimnastykę na co dzień.”

W latach 50 - tych nakładem sił i czasu przygotowywała masowe pokazy gimnastyczne na około 250 ćwiczących na stadionie Łady. Tuż po wojnie pani Aniela zaangażowała się w ruch teatralny w Biłgoraju oraz w rejonie i w powiecie tomaszowskim. Prowadziła zespoły chóralskie w zakładach pracy: PZGS, WSS i „Włosiankami”.

Kultura naszego miasta wiele zawdzięcza pani Anieli. Można o niej powiedzieć „człowiek orkiestra”, była wszechstronna, niezwykle pracowita, udzielała się społecznie. Aniela Dudekowa była znakomitym pedagogiem, którego podziwiał i miłuje wiele pokoleń biłgorajskiej młodzieży. Nie sposób wymienić wszystkie wyróżnienia, dyplomy, nagrody, medale, wśród nich Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, który otrzymała 15 maja 1977. Zmarła w Zamościu w wieku 82 lat. ■



Zespół Taneczny działający przy Liceum Ogólnokształcącym pod kierownictwem Anieli Dudekowej (rząd dolny, pierwsza z lewej)

Będzie...

Katolickie liceum w rozbudowie

Rozpoczęły się prace związane z rozbudową Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Pawła II. Zakończenie prac jest przewidywane na czerwiec przyszłego roku.

Katolickiemu Liceum Ogólnokształcącemu im. Jana Pawła II pozyskało ponad 1,3 mln zł. z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Lubelskiego.

Milion złotych przeznaczono na rozbudowę i modernizację gmachu szkoły. Wyposażenie placówki pochłonie pozostałą kwotę, a dzięki temu szkoła będzie jedną z najlepiej wyposażonych placówek oświatowych w naszym regionie.

835 w remoncie

Ruszył remont drogi nr 835 na 13-kilometrowym odcinku Biłgoraj - Frampol. Inwestycja ma kosztować ok. 50 mln zł.

Pracę rozpoczęły się od strony naszego miasta, na ul. Janowskiej. Tą trasą będzie przebiegać objazd, kiedy zostanie wyburzony wiadukt. Zarząd Dróg Wojewódzkich nie przewiduje innych objazdów, a kierowcy będą jeździć tą samą trasą, chociaż ruch z pewnością będzie utrudniony.

Niebezpieczne zakręty w Korytkowie Dużym zostaną wyprostowane, ponieważ w tych miejscach dochodziło do częstych wypadków. Na części trasy powstaną drogi serwisowe, aby mieszkańcy miejscowości położonych przy szosie mogli bezpiecznie wyjeżdżać ze swoich posesji na główną trasę.

Nowa, przebudowana nawierzchnia będzie gotowa za półtora roku.

E - kioski w Józefowie

Władze Józefowa pozyskały pieniądze z UE na tzw. e - kioski. Dzięki temu mieszkańcy wiele spraw załatwią przez Internet. W Urzędzie Miasta i Gminy dokumenty będą przekazywane i archiwizowane drogą elektroniczną.

Będą trzy tego typu miejsca: w Urzędzie Miasta i szkole. Poza tym w Majdanie Nepryskim, Długim Kącie, Stanisławowie, Górnikach, Hamerni i Górecku Kościelnym zostaną utworzone publiczne punkty dostępu do sieci, z komputerami i drukarkami.

Władze Józefowa chcą też komunikować się z mieszkańcami za pomocą telebimów zainstalowanych w 7 miejscowościach: Józefowie, Majdanie Nepryskim, Długim Kącie, Stanisławowie, Górnikach, Hamerni oraz w Górecku Kościelnym.

**Wiktoria Klechowa**

biłgorajanka od lat współpracuje z gazetą Tanew, autorka książki "Na skraju Puszczy Solskiej, laureatka nagrody Literacko-Publicystycznej "Labędzie Pióro"

Będąc uczennicą szkoły powszechnej, a było to jeszcze przed I wojną światową, zbierała rówieśników i urządziła przedstawienia. Wzorowała się na trupie kuglarzy, która wówczas objeżdżała nadgraniczne miejscowości. Zapamiętała jak starsi mówili, że ta trupa to przejeżdża więcej dla szpiegostwa, niż żeby zabawiać okoliczną ludność swoimi przedstawieniami.

Rodzina pani Haliny mieszkała przez I wojnę w Hucie Krzeszowskiej, ojciec był organistą w tamtejszym kościele.

Gdy wybuchła wojna, a te tereny opanowali Rosjanie jej ojciec został aresztowany i zesłany na Sybir, zarzucano mu działalność gospodarczą. Z zesłania wrócił w 1924 r. Pani Halina z rodzeństwem i matką była również wzięta do Rosji, ale dzięki narzeczonemu siostry, który był oficerem łączności, rodzina ze Szczepieszyna wróciła do Huty Krzeszowskiej.

W roku 1918r., w lipcu zmarła mama pani Haliny i cały ciężar spadł na barki siostry Janiny, jako najstarszej z rodzeństwa. Dla pani Haliny najważniejsza była nauka. Przez prawie rok uczęszczała na kurs przygotowawczy do Szkoły Handlowej Vetterów w Lublinie, ale nie rozpoczęła nauki w lubelskiej uczelni. Od września 1919r. rozpoczęła naukę w Koedukacyjnej Szkole Handlowo - Zawodowej w Biłgoraju, jaką utworzył Powiatowy Związek Komunalny Sejmiku Powiatowego w Biłgoraju.

I tu, w tej szkole, pani Halina zapisała się do sekcji teatralnej. Uczniowie urządzali przedstawienia z okazji różnych uroczystości. Była też współreżyserem wielu przedstawień. Młodzież grała Jasełka, Kordiana, Noc Listopadową i wiele innych. Pani Halina często pełniła też rolę suflera.

Po ukończeniu szkoły handlowej pani Halina i cała młoda paczka, jako awangarda, zorganizowała w Biłgoraju Koło Młodzieży Polskiej. Był wrzesień 1922 r. pracę podzielono na

Teatr amatorski w Biłgoraju

Gdy Polska odzyskała niepodległość w pamiętnym roku 1918 zaczęło się w kraju odradzać życie kulturalne. Tak też było w Biłgoraju, wówczas miście powiatowym.

Jak wspomina w swych pamiętnikach pani Halina z Mysakowskich Kucharska, żona Mariana Kucharskiego, niegdyś występująca w Teatrze Amatorskim w naszym mieście, już od młodych lat interesowała się teatrem.



Młodzieżowa grupa teatralna
- lata międzywojenne

sekcje: literacko - dyskusyjną, teatralno - młodzieżową i sportową. Do teatru garnęło się wiele osób, mieszkańców Biłgoraja. Reżyserem tej sekcji teatralnej był Jan Głogowski, magister farmacji. Po pewnym czasie Koło Młodzieży Polskiej zostało rozwiązane. Powstało Koło Miłośników Sceny. Dzieliło się na sekcję teatralną, koncertową i chór. Tak powstał w latach międzywojennych Teatr Amatorski w Biłgoraju. Do sekcji teatralnej należeli między innymi: Eugenia Busin - Kucharska, Mieczysław Kucharski, Golińscy, Jaworscy, Stanisław Kogut, Eugeniusz Celiński, Walerian Burnus, Śmiechowicz, Brodowski, Bronisław Bentkowski, Czesław Witkowski.

Reżyserzy Koła Miłośników Sceny: Głogowski, Brodowski, Goliński, Bentkowski, Januszewski.

Grane sztuki: Śluby Panieńskie, Grube ryby, Klub Kawalerów, Zemsta, Końska Kuracja, Krakowiacy i Górale, Swatka, Fircyk w zalotach,

Zaczarowane Koło, Noc Listopadowa i inne.

W koncertach występował m.in.: Jan Szerszenowicz - skrzypce, Niedziałkowski - fortepian, Jan Rytko - kuplety, Halina Mysakowska - Kucharska - deklamacja.

Przedstawienia grane były początkowo w trudnych warunkach, nie było światła elektrycznego, oświetleniem były lampy naftowe albo świece. Sala widowiskowa w kamienicy Kaminera, w pobliżu kościoła parafialnego.

W późniejszym okresie przedstawienia odbywały się już w sali kina - był to drewniany budynek w pobliżu Magistratu. Często cała trupa teatralna wyjeżdżała na występy gościnne do Tarnobrode i Zwierzyńca. Wyjazdy te były niekiedy uciążliwe. Konie folwarku Kiełczewskiego wiozły aktorów wraz ze sprzętem. Czasem z przygodami, panie w pantofelkach grzęzły w błocie, było też wiele komicznych sytuacji i nieporozumień.

Po pewnym przedstawieniu zdarzył się też dramat. Grupa grała operetkę „Krakowiacy i górale”. Zmieniła tytuł na „Polacy w Ameryce”. Dochód przeznaczono na cele dobroczynne. Z ramienia LOK był na przedstawieniu dziennikarz, który opisał występ z podaniem osób biorących udział. Między innymi wymienił nazwisko Jaworskiego o przydomku z czasów legionów „Konopka”. Gazetę przeczytał niejaki Dobrzański, który poszukiwał legionisty właśnie o takim pseudonimie. Pani Halina tak pisze o tym dramacie w swych pamiętnikach: „Gdy więc dowiedział się że „Konopka” jest w Biłgoraju, wszedł do pokoju w którym pracował Jaworski i zapytał: sierżancie, czy nazywasz się Jaworski? Tak jest pani kapitanie, odpowiedział. Kapitan bez słowa

wyjął rewolwer i zastrzelił go.”

Całe miasto było poruszone. Sierżanta Jaworskiego pochowano na cmentarzu w Biłgoraju. Osierocił żonę i dwóch synów. Przedstawienia na jakiś czas wstrzymano, w związku z tragiczną śmiercią jednego z aktorów.

Ale życie toczyło się dalej. Występy wznowiono, grano nadal sztukę „Polacy w Ameryce”, tylko już w innym składzie.

Do przedstawień angażowano też młodzież szkolną, brali w nich udział między innymi synowie ówczesnego dyrektora Hurtowni „Społem” Bohdana Husara.

Pani Halina w latach 30. jako żona Mariana Kucharskiego zamieszkała wraz z mężem w budynku tej hurtowni, pani Halina pracowała tam w księgowości.

Nadszedł wrzesień 1939r. budynek kino - teatru spłonął w czasie wielkiego pożaru Biłgoraja.

Nastał czas niemieckiej okupacji.

Po wyzwoleniu na wniosek pana inżyniera Bronisława Bentkowskiego Teatr Amatorski w naszym mieście wznowił działalność pod nazwą Teatr Ziemi Biłgorajskiej. Kierownictwo i reżyserię powierzono profesor Anieli Dudekowej.

Ale to już odrębna historia. ■



Józefa Głowik i jej wychowankowie z grupy teatralnej

Było...

**Czesław Świca na emeryturze
Pierwszy Przewodniczący Biłgorajskiej
Rady Miasta po demokratycznych wybo-
rach, Czesław Świca przeszedł na emeryturę**

W latach 1958 - 1960 pracował w Lubelskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego w Lublinie, potem w Spółdzielni Pracy Remontowo-Budowlanej „Janowianka” w Janowie Lubelskim, a następnie od 1961 r. do 1973 r. w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Biłgoraju jako Inspektor nadzoru budowlanego. Od 1973 r. do 1976 r. zatrudniony był w Urzędzie Miasta Biłgoraj jako Inspektor ds. budownictwa.

Od 1980 r. współtworzył samorząd pracowniczy i był czynnym członkiem Zakładowej „Solidarności” w PBID. Był inicjatorem, współtwórcą i realizatorem tablic, pomników upamiętniających ważne wydarzenia historyczne: pomnik ofiar terroru stalinowskiego i UB przy ulicy Poprzecznej, tablica na budynku Starostwa Powiatowego przy ulicy Kościuszki, pomnik żołnierzy Armii Krajowej na skwerze Solidarności, pomnik Ofiar Katynia, czy tablica upamiętniająca męczeńską śmierć księdza Jerzego Popiełuszki oraz tablica ofiar gestapo przy ul. „Wacek”-Wasilewskiej. Za swą działalność był wielokrotnie odznaczany: w 1978 r. medalem 400-lecia Miasta Biłgoraja, w roku 1980 medal 400-lecia Miasta Zamościa, w 1980 r. medalem 1000 - lecia Miasta Sandomierza, w 1980 r. Srebrnym Krzyżem Zasługi, w 1984 r. medal Zasłużony dla Województwa Zamojskiego, w 1984 r. medalem Przemysłowców Drogowców, także w 1984 r. medalem XXXX - lecia PRL. W roku 2008 otrzymał odznakę Zasłużony Działacz Ruchu Spółdzielczego.

Będzie kolejny Orlik

Do 30 września br. przy SP nr 4 powstanie nowe boisko. Oprócz boiska powstanie też plac zabaw.

Boisko do gry w piłkę nożną będzie miało syntetyczną nawierzchnię, natomiast boiska do siatkówki i koszykówki będą wykonane z nawierzchni poliuretanowej. Z Urzędu Marszałkowskiego pozyskano 333 tys. zł oraz środki z Ministerstwa Sportu w kwocie 333 tys. zł. Pozostała kwota pochodzi z budżetu miasta.

Na koniec września tego roku planowane jest oddanie placów zabaw przy Szkole Podstawowej Nr 1 i Nr 4 w ramach programu Radosna Szkoła.

II Święto Cebuli w Goraju

11 lipca w Goraju odbyła się II edycja Święta Cebuli. Organizatorzy przygotowali m. in. degustację dań cebulowych, stoisko średniowieczne, czy wybory Miss Cebuli. Przygotowano też sporo atrakcji dla najmłodszych i młodzieży.

Imprezie towarzyszyły występy lokalnych zespołów muzycznych, kabaretowych i wokalnych. Można było też podziwiać grupę taneczną ze świetlicy środowiskowej z Nielisza oraz Młodzieżową Orkiestrę Dętą BIG BAND z Biłgoraja, a także zespół rockowy TEA z Katowic i zespół Czaban Band z Lublin. Festyn zakończył się zabawą taneczną, która trwała do późnych godzin nocnych.

Młodzi i Tani

Arkadiusz Nyzio

student politologii i bezpieczeństwa narodowego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Współpracownik Fundacji Przestrzeni Obywatelskiej Pro Publico Bono. Interesuje się historią, doktrynami politycznymi i literaturą. Perkusista krakowskiego zespołu Sokal Hoax.

W 1984 roku Andrzej Strumiłło, malarz, rysownik, rzeźbiarz, grafik, fotografik, pedagog i poeta, zrezygnował z intratnej posady w Organizacji Narodów Zjednoczonych i kuszących perspektyw awansu. Nowy Jork nigdy wprawdzie nie przestał go fascynować, nie było to jednak jego miejsce. Odrzucało stre-

Z Kresów...

Profesor Andrzej Strumiłło - przykład dorobienia się solidnych rzeczy

„Dorobię się rzeczy solidnych” - Andrzej Strumiłło napisał te słowa w sierpniu 1968 roku. Zabrał je później ze sobą do Włoch, Indii, Nepalu, Tajlandii, Japonii, Stanów Zjednoczonych - być może łatwiej byłoby wymienić miejsca, w których nie był. Siedziba ONZ znajduje się jednak w Nowym Jorku, na Manhattanie, a to daleko, stanowczo zbyt daleko od Wilna. Central Park jest duży, ale czy dość duży, aby posadzić w nim jeszcze 30 tys. drzew profesora? Z drugiej strony, czy Wielkie Jabłko zachodniego świata jest dostatecznie duże, aby dać jego osobie wystarczającą ilość miejsca, bez szkody dla jej niezależności? Szybko okazało się, że nie.



Prof. Andrzej Strumillo

sem i wszechobecnym plastikiem, odstraszało hałasem, szaleństwem i absurdami konsumpcyjności, o których pisał Erich Fromm. Chociaż przywykłe przez lata do wędrówki, nogi wreszcie zaczynały domagać się odpoczynku. Strumiłło zapragnął powrotu do lat, kiedy wszystko było prostsze - tęsknił za dzieciństwem, chciał na powrót poczuć jego klimat. Nie było to jednak uczucie, które kępowało, pogrążało w stagnacji i melancholii. Świat zaczął rodzić się na nowo, tak jak fauna i flora budzą się do życia po srogiej zimie. Dzieje

się to za sprawą wiecznej i wszechmocnej siły twórczej.

Dzięki pracy ludzkich rąk i umysłu, dzięki zgodności wyobraźni i wrażliwości, zrujnowany dom w Maćkowej Rudzie nad Czarną Hańczą (jedyną polską rzeką wpadającą do Niemna, zwaną toteż jego córką) wkrótce przerodził się w serce krainy tak zjawiskowej, jak to tylko możliwe na jawie. W okolicy zaczęła gromadzić się energia, a jej obecność była tak oczywista dla każdego, kto miał przyjemność być gościem lub sąsiadem artysty, że być może niewymagająca nazwania. Tak spontaniczna i naturalna, że odczuwana podświadomie i podskórnie. Niezwykła aura, wydostająca się jakby z nowego, ósmego czakramu, rozplynęła się na całą okolicę, rozpostarła ponad nią swe ramiona, niczym konary gigantycznego drzewa - drzewa życia, znanego chrześcijanom i hebrajczykom, obecnego w mitologiach i wyimaginowanych światach fantasy. „Duch”, który wypełnił



Konferencja „Genius Loci” w pracowni Profesora

swym jestestwem okolicę odnalazł swojego kustosa, na tyle odpowiedzialnego, aby nie poprzestał w swych wysiłkach, na tyle skromnego, aby nie zachłysnął się własną osobą i nie zamknął go we własnej samotni, wreszcie, na tyle zdeterminowanego, aby swą osobą wciąż rozszerzał jego działanie, tak daleko, jak to tylko możliwe.

Gospodarstwo Andrzeja Strumiłły w Maćkowej Rudzie spełnia obecnie wiele ról, inspirując, edukując, wreszcie zwyczajnie zachwycając. Poprzez osobę profesora platońska triada piękna, prawdy i dobra, znalazła idealną emanację. Jest to tym bardziej fascynujące, im



Dwór w Maćkowej Rudzie



Pracownia w Maćkowej Rudzie

bardziej wypływa z jego samodzielnych i bezwiednych działań. Tym bardziej przytłaczające, im mocniej zakorzenia w człowieku przeświadczenie o swej nieśmiertelności i nieskończoności. W końcu, jak przyznaje sam artysta, „obraz świata bezgranicznego i niepoznawalnego w całości wydaje się być prawdziwszy. Nikt nie zna wysokości Góry Meru”. Kreatywna siła, kojąca i mobilizująca zarazem, od lat wypełnia okoliczne lasy i serca mieszkańców, toteż nie dziwi fakt, iż znajduje kolejnych „wyznawców”. Niezależnie czy dzieje się to świadomie czy też nie, odkrywają oni i przekuwają na własne wzorce, którymi promienieje siedziba Strumiłły. To wokół niej koncentrują się okoliczne wydarzenia kulturalne,

przyciągając ludzi z całego kraju, to ona gości fundacje i stowarzyszenia, zwabiane charyzmą profesora i jego obywatelskim zaangażowaniem, to w niej znaleźć można zarówno wytechnienie, jak i natchnienie.

Jest to efektem atmosfery spójności i antycznego podejścia do ładu, co znajduje swój wyraz w przeświadczeniu o konieczności harmonijnego koegzystowania i wzajemnego uzupełniania się ról człowieka i miejsca, w którym żyje. Wszystko co Andrzej Strumiłło uczynił dla okolicy, oparł bowiem na przekonaniu, że działanie musi być dostosowane do miejsca; jego historii, tradycji, spuścizny wieków - także w wymiarze przyrodniczym. W dobie



Przygotowania do spektaklu



120 - letni modrzew - bohater "Drzewa"

antropopresji dokonał zatem petryfikacji piękna Tatkarkiewiczowskiego, łącząc piękno naturalne, będące „dziełem demiurga” oraz piękno sztuki, będące dziełem człowieka.

Andrzej Strumiłło, od lat zajmując się kulturą dziedzictwa przyrodniczego, opisując ją, przekuwając w czyny i słowa, stopniowo oswaja z nią ludzi, mimochodem cementując oryginalną wspólnotę. Jego folwark stanowi udany przykład takiego działania. Zbudowany z zachowaniem uwarunkowań przyrodniczych, jest symbolicznym wyrazem korelacji pomiędzy człowiekiem a środowiskiem. Kultura ekologiczna to bowiem nie tylko szacunek do ziemi i porządku przyrody zdaje się tłumaczyć profesor - tj. takiego wpływania na jej kształt, aby nie doprowadzić do zburzenia naturalnego porządku. To także świadomość odpowiedzialności za przyrodę. Nieprzypadkowo bowiem stworzono pojęcie „bogactwo naturalne” i chociaż obecnie bardziej kojarzy się nam ono z przemysłem i pojęciami w rodzaju „biomasa”, to w swej genezie ma przecież coś niezwykle przejmującego

i romantycznego. Oto na wstępie obdarzeni zostaliśmy niezwykle drogocennym spadkiem nie musieliśmy o niego prosić, nie musieliśmy płacić, nie musieliśmy walczyć. Podkreśliśmy nie „musieliśmy”. Nasze zadanie sprowadzało się jedynie do pielęgnacji, proszono nas, abyśmy byli jak sprawny rolnik doglądający swego gospodarstwa. Wymagało to jednak sporego zaangażowania, toteż woleliśmy skupić się na łatwiejszej części - użytkowaniu. Przykład Andrzeja Strumiłły uwiadczenia nam, że natura potrafi i chce się odwdziżyć, zaś wkład włożony w opiekę nad nią zwraca się z nawiązką.

Kreatywność profesora wznieca więc jej aurę, zgodnie ze słowami ks. Tischnera, który twierdził iż „dobro jest jak ojcostwo”. Działania profesora doprowadziły do powstania kręgu osób, nie tylko społeczników, naukowców i dziennikarzy, ale też zwykłych mieszkańców okolicy, czynnie zainteresowanych kultywowaniem jego wzorców i postaw. Dzięki temu stał się on bohaterem Sympozjum Akademii Genius Loci*

interdyscyplinarnej platformy wymiany myśli i integracji środowisk naukowych, prowadzących badania nad pojęciem *genius loci* i przestrzeni w naukach humanistycznych. Głównym organizatorem Akademii jest Stowarzyszenie Genius Loci, powołane z inicjatywy Pawła Jaskanisa, dyrektora Muzeum Pałacu w Wilanowie, oraz jego współpracowników. To właśnie profesor Strumiłło i niepowtarzalny charakter Maćkowej Rudy stanowiły impuls do wzniecenia intelektualnego fermentu dotyczącego fenomenu miejsc dziedzictwa kulturowego, ich roli, sposobów historycznego zagospodarowania i harmonijnego współlistnienia człowieka z otoczeniem.

Bogactwo regionu Suwalszczyzny, chociaż oczywiste i dostrzegalne gołym okiem, potrzebowało jednak piewcy-inicjatora - kogoś, czyja działalność w tym zakresie będzie równie oczywista. Kogoś, kto wpasowuje się w okolicę w takim samym stopniu, co tamtejsze drzewa, rzeki i jeziora. Podróżnik dysponujący wielkim bagażem doświadczeń, a przy tym będący artystą, co pozwala mu z owych doświadczeń twórczo korzystać, idealnie się w ową lukę wpasował. Umiejętności z zakresu dyplomacji kulturalnej w skali makro, które rozwijał pracując w budynku na East River, znalazły swe ujście w skali mikro w drewnianym dworku nad Czarną Hańczą. Jego osoba stała się swoistym rzecznikiem natury, trzymającym w swych rękach narzędzia jeszcze skuteczniejsze w „uprawie”, niż te rolnicze, do których profesor deklaruje szacunek i sympatię. W Maćkowej Rudzie Andrzej Strumiłło odnalazł o wiele więcej, niż odpoczynek od zgiełku wielkiego miasta.

Każdy prawdziwy odkrywca prędzej czy później odnajdzie bowiem swój skarb, a każdy prawdziwy skarb - swego odkrywcę. Profesor Strumiłło, człowiek wywodzący się z tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego, współautor „Księgi Wielkiego Księstwa Litewskiego”, objechałszy niemal cały świat, swój skarb odnalazł w maleńkiej wiosce niedaleko polsko-litewskiej granicy. Nie zachował go jednak dla siebie, lecz postanowił rozdać go wszystkim wokół, siejąc i sadząc, a więc czyniąc prawdziwe *cultus agri*. Jego praca i poświęcenie na rzecz lokalnej wspólnoty już przynosi wymierne

rezultaty, a przecież nie minęło jeszcze tak wiele czasu. Od 1975 roku, kiedy powstało województwo suwalskie a profesor Strumiłło na prośbę ówczesnego wojewody rozpoczął pomoc w organizowaniu lokalnego życia kulturalnego, minęło zaledwie trzydzieści pięć lat. To wiele, bardzo wiele, dla jednego człowieka, lecz nie dla ludzkości, wiele dla pojedynczej sadzonki, jednak nie dla całego lasu. Profesor już dokonał wielkich rzeczy, a jego postać na zawsze stanie się wzorem i symbolem. Wiele jeszcze jednak przed nim i chociaż deklaruje, iż w Maćkowej Rudzie znalazł swoje miejsce i nie planuje dalszych podróży, nie oznacza to z pewnością końca wędrówki. Będzie ona trwała poprzez jego prace, wspomnienia, a wreszcie poprzez wszystkich tych, którzy zechcą się wsłuchać w pieśń znad „Córki Niemna” jego uczniów. Jak pisał Jarosław Marek Rymkiewicz w „Zachodzie Słońca w Milanówku”; „Urodzę się na nowo pod innym imieniem/Wtedy będę czym zechcę, brzozą czy dereniem”. Oby urodziło się jak najwięcej i poprzez wieczną naturę uczyniło go nieśmiertelnym. To już całkiem solidny dorobek.

* Bezpośrednią genezą powstania powyższego artykułu było Sympozjum Akademii Genius Loci „Kultura w przestrzeni dziedzictwa przyrodniczego”, które odbyło się 21



Sejny - klasztor

sierpnia 2010 roku, w domu Andrzeja Strumiłły w Maćkowej Rudzie. Akademię współtworzy Stowarzyszenie Genius Loci, Kolegium Wigierskie, Fundacja Kresy 2000 z Nadrzecza k. Biłgoraja oraz Związek Powiatów Polskich. Celem kolejnych spotkań jest promocja miejsc, które uzyskały szczególne znaczenie dzięki kulturze, oraz osób, których twórczy wysiłek doprowadził do odkrycia ich fenomenu.

Przesłanie sympozjum zostało uzupełnione przez autorski projekt Stefana Szmidta i Fundacji Kresy 2000. Jest nim plenerowy spektakl

„Drzewo”, na podstawie dramatu Wiesława Myśliwskiego. Fenomen tej inscenizacji polega na wykorzystaniu warunków naturalnych, a także lokalnego dziedzictwa; historii, tradycji i oryginalnych warunków miejsca, w którym się odbywa. Centralnym elementem scenografii, a przy tym najważniejszym symbolem, jest tytułowe drzewo. Tym razem był to studwuździestoletni modrzew rosnący na posesji Andrzeja Strumiłły. Kolejne odsłony „Drzewa” wpisując się w cykl „Rozmowy Polskie - Kultura Pamięci - Kultura Przestrzeni”, są realizacją projektu sceny polnej Fundacji Kresy 2000 „Pielgrzymowanie teatralne - od drzewa do drzewa”. Projekt wspiera równocześnie marszałek województwa lubelskiego Krzysztof Grabczuk w ramach promocji Lubelszczyzny, sprawując nad całą tegoroczną trasą ok. 20 przedstawień „pielgrzymowania teatralnego” honorowy patronat.

Od czerwca do połowy września tego roku „Drzewo” „pielgrzymuje do dziesięciu małych miejscowości na terenie wschodniej Polski, oddalonych od centrów kultury. Objazd ten finansowany jest ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, w ramach programu „Teatr Polska” realizowanego przez Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego.

Fot. Arch. Fundacji „Kresy 2000”



Aktorzy „Drzewa” - Alicja Jachiewicz, Zdzisław Warddejn, Stanisław Biczysko - przed domem Profesora

Rozbudowa Biłgorajskiego Centrum Kultury tuż tuż...

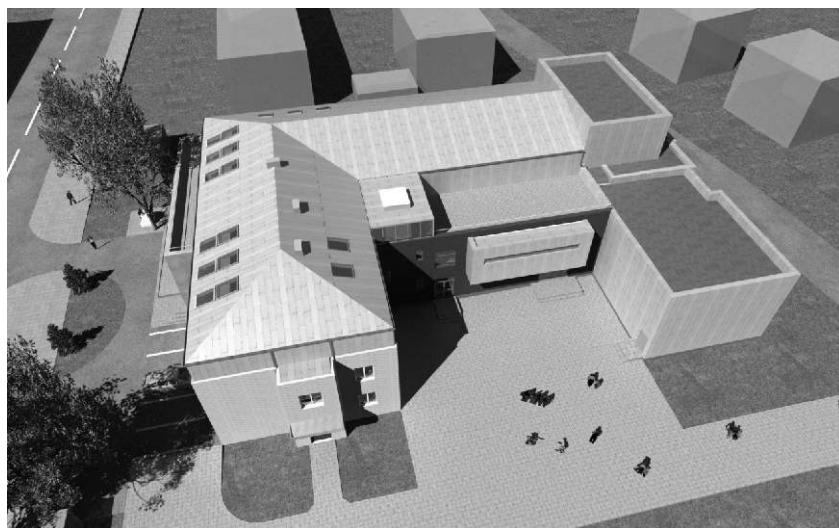
Urząd Miasta otrzyma dofinansowanie w wysokości 10,5 mln na przebudowę Biłgorajskiego Centrum Kultury. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem władz miasta, to już jesienią tego roku rozpocznie się remont domu kultury. Inwestycja ma kosztować ok. 18 mln zł. Od dwóch lat jest już gotowy projekt nowego budynku, który ma powstać do końca maja 2012r.



Widok od strony ul. Kościuszki

Budynek przy ul. Kościuszki 16 powstał w latach 50 - tych ubiegłego stulecia. Do tej pory ani razu nie był gruntownie remontowany. Pożar, który wybuchł w nim w 1986r. zmusił poniekąd władze miasta, do wybudowania nowego dachu, pod koniec lat 90 - tych wyremontowano i odnowiono część pomieszczeń.

Ale sala widowiskowa wciąż wygląda tak, jakby czas się tam zatrzymał: stare fotele, zniszczona podłoga, złe oświetlenie - długo można by tak wycisnąć. Za kilka-



Widok z lotu ptaka



Widok od strony ulicy Ogrodowej

naście miesięcy będzie wyglądać zupełnie inaczej.

Władze miasta od dawna zabiegały na uzyskanie dofinansowanie na przebudowę BCK. Przypomnijmy, że zanim mogły ubiegać się o unijną dotację, trzeba było unormować sytuację z teren obok domu kultury. Teren ten należał do spółki Statoil, a koncern nie chciał sprzedać tej ziemi; proponował zamianę działek. Miasto zaproponowało więc skwer przy skrzyżowaniu ulic Cegielnianej i Długiej, potem działkę przy ul. Generała Sikorskiego. W obu przypadkach mieszkańcy sąsiednich bloków nie zgadzali się na takie rozwiązanie, nie chcieli stacji paliw w tym miejscu. Ostatecznie, po licznych perypetiach teren przy BCK udało się zakupić Urzędowi.

Będąc właścicielem terenu miasto mogło ubiegać się o dofinansowanie z Regionalnego Programu Operacyjnego. Złożony przez Gminę Miasto Biłgoraj wniosek opiewał na kwotę 18 mln zł; w marcu tego roku wniosek znalazł się dopiero na 5 miejscu listy rankingowej, ale ostatecznie znalazły się pieniądze z listy rezerwowej, które trafią do Biłgoraja.

Projekt nowego domu kultury powstał wiele miesięcy temu. Jeśli uda się wszystko zrealizować zgodnie z planem architektów, to zmieni się on nie do poznania.



Widok z placu BCK

- Budynek będzie przeszklony od frontu, zostanie dobudowana jedna kondygnacja, czyli poddasze, w którym powstaną m. in. pracownie plastyczne. Sala widowiskowa zmieni się znacząco, np. będzie dobudowany balkon, choć ilość miejsc na widowni nie zmieni się. Oczywiście wymienione zostaną krzesła, wszystkie elewacje. W kinie zamontujemy nowy ekran. Wymienimy też cały sprzęt akustyczny i oświetleniowy. Sala widowiskowa pomieści 307 osób - opowiada Tomasz Falandysz, kierownik administracyjny - techniczny BCK.



Widok od strony południowej



Sala widowiskowo - kinowa

Oprócz sali widowiskowej powstanie też sala konferencyjna i kameralna na ok. 90 miejsc. Dzięki temu np. w budynku będzie można organizować dwie imprezy jednocześnie.

Od strony ulicy Ogrodowej powstanie sala, do wideokonferencji, bo BCK w dalszym ciągu będzie

otwarte dla wszystkich chętnych, którzy nie tylko skorzystają z oferty artystycznej, ale również dla tych firm i organizacji, które zechcą wynająć salę na organizowane przez siebie spotkania, czy konferencje.

Pierwsze piętro pomieści przede wszystkim salę klubową i pomieszczenia administracyjne. Powię-

kszona zostanie tzw. sala lustrzana, gdzie odbywają się głównie zajęcia taneczne.

Na parterze zostanie poszerzony hol kinowy, obok powstaną szatnie z prawdziwego zdarzenia - obecnie trzeba stawiać wieszaki w holu przed wejściem do sali widowiskowej, bo nie ma pomieszczenia, gdzie goście mogli by zostawić wierzchnie okrycie. Tuż obok holu będzie też bufet.

Teren dookoła BCK również zostanie zagospodarowany, tak, aby w dalszym ciągu na scenie letniej odbywały się koncerty, ale dookoła mają powstać m. in. alejki i parking.

Gruntownej przebudowie ule-

gnie również część administracyjna. Obecnie dom kultury w Biłgoraju nie ma nawet magazynu, który pomieściłby wszystkie instrumenty, dekoracje, rekwizyty. Nie ma też garażu - trzeba go wynajmować od jednej ze szkół podstawowych.

Przy organizacji imprez na placu przez BCK, nie będzie już konieczności stawiania toi toi, po przebudowie powstaną toalety dostępne dla uczestników tych imprez.

Projekt przewiduje, że od strony ul. Kościuszki powstaną dwa tarasy widokowe.

Bardzo ważne jest to, że nowy budynek zostanie przystosowany dla osób niepełnosprawnych, znikną więc bariery architektoniczne. Niepełnosprawni będą mogli skorzystać z windy, czy usiąść w kinie na fotelu przystosowanym specjalnie dla nich. ■

Joanna Wyrostek

Fot. MAGG.S.C.

Agnieszka Marek

Absolwentka Wydziału Aktorskiego Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie

Rodzice

W miejscu, gdzie odbędą się zaślubiny, wzniesiono już chupę - dach, pod który zostaną wprowadzeni nowożeńcy. W miejscu ceremonii znajduje się już przygotowany stolik z zapalonymi świecami. Jest wino. Para młoda zajmuje miejsce pod baldachimem. Panna młoda po prawej stronie pana młodego. Padają dobre słowa, ciepłe i poważne. Puchar napełnia się po brzegi winem. Przyszli małżonkowie jak teraz piją z jednego kielicha, tak odtąd będą czerpać z jednego kielicha wspólnego życia. Świadkowie wręczają panu młodemu pierścionek. Wkładając ów pierścionek na palec panny młodej, wypowiada on po hebrajsku: „Przez przyjęcie tego oto pierścienia stań się mi uświęconą wedle prawa Mojżesza i Izraela”. Zaręczyny zostały dokonane. Jeszcze „siedem błogosławieństw”, brzęk szkła, które z rozmysłem się rozbija. „Tak jak nieprawdopodobne jest, aby to szkło rozbite na powrót się scalało, tak małżeństwo właśnie zawarte nie może się rozpaść!”. Mazał Tow.

Drugiego czerwca 1889 roku, w atmosferze wielkiej pobożności, niczym dotąd nie zakłóconej, małżeństwo Mendla Pinkasa Zyngera, lat 21, urodzonego w Tomaszowie, syna Szmula i Temy Szejner, z Szewą Zylberman, lat 18, urodzonej w miasteczku Poryck, córki Jakuba Mordki i Chany Danciger, zostało zawarte. Wg kalendarza żydowskiego był rok 5649.

2 czerwca 1889 to początek historii pisarza, późniejszego noblisty, mimo iż do jego narodzin jeszcze sporo czasu. Tu początek jego opowieści, jego świata pełnego zjaw i demonów, kobiet i magii. Świata, którym niepodważalnie rządzi Bóg. Małżeństwo Pinkasa i Batszeby oraz rodzeństwo starsze i młodsze będą stanowić bosso continuo jego opowieści. Tak jak pisarz uporczywie do nich wracał, tak i tutaj nie wolno o nich nie wspomnieć.

Matka, wysoka i szczupła, o bladej kanciastej twarzy, spiczastym nosie i wystającym podbródku, o rudych włosach i wielkich szarych oczach, była córką biłgorajskiego

Singerowskie demony

- część I

Leoncin, Radzymin, Biłgoraj, Warszawa... „Próżno szukać tam jakichkolwiek śladów przeszłości”². Wszystko zostało zniszczone. „Wytarto historię, unieważniono dawne pejzaże, zakneblowano pamięć”³. Tam, gdzie niegdyś pulsowało żydowskie życie, teraz stoją żelbetonowe bloki. Szare i zimne. Nikt nie pamięta dawnych krajobrazów. Nikt nie chce pamiętać. Wszystko zginęło. Tempo życia jest zawrotne. Ludzie wciąż gdzieś spieszą bez chwili wytchnienia. Tak jest dziś, tak było dziesięć a nawet dwadzieścia lat temu, w czasach kiedy żył on. Kronikarz zaginionego świata. Isaac Bashevis Singer

rabina Jakuba Mordechaja Zylbermana, misnagda, co nie pozostaje bez znaczenia w świetle małżeństwa córki z wyznawcą chasydyzmu. Trzeci racjonalizm oraz wybitny intelekt ojca przeniósł się na Batszebę, stąd prawdopodobnie opinia, jakoby Batszeba wyjątkowo nie nadawała się do roli rebecin. Była szorstka i surowa. Traktowała ludzi nieuprzejmie i chłodno. Była sceptyczna i bezustannie pogrążona w rozmyślaniach. Popadała w melancholię. Nieobecna myślami żyła w izolacji. Nic jednak nie zmieni faktu, iż to właśnie matka była pierwszym wzorem, skarbnicą wiedzy i największym autorytetem dla pisarza w początkowej fazie jego rozwoju. Lubiła czytać, wręcz pasjonowała się książkami. Uważała lekturę za trening zasad moralnych. Czytywała świecką literaturę, zwłaszcza książki moralizatorskie takie jak: Powinność serca i Początki mądrości. Sama nauczyła się hebrajskiego, co dla żydowskiej kobiety żyjącej w tamtym czasie nie stanowiło normy, a raczej uchodziło za nadużycie. Batszeba była niezwykle pobożna, znała Torę na pamięć, ale „była jedynie kobietą, jej inteligencja stanowiła raczej ujmę niż cnotą”. Nic więc dziwnego, że obdarzona cechami „nowoczesnej” kobiety, Batszeba nie sprawdziła się w roli gospodyni domowej, wiecznie w kuchni, wiecznie gotującej, przed czy po szabacie. Uważała to za udrękę i trudno się dziwić. Potrafiła natomiast, mimo niedogodności bycia kobietą, wprowadzić do domu trzy złote zasady: pobożność, powściągliwość i surowość.

Ojciec, niewysoki, o delikatnej twarzy, pełnych policzkach i niebieskich oczach, łagodny i dobry, miał jedno pragnienie: żyć jak prawdziwy Żyd. Był synem Szmula, dziwaka skłonnego do ascezy. Matka zaś była

wesoła, zaradna, utrzymywała rodzinę z handlu biżuterią, była cierpliwa i wyrozumiała. Sam Pinkas był ciepły i pogodny, najmłodszy z pięciorga rodzeństwa, trochę pusty i rozpieszczony. Nie potrafił ukrywać uczuć, wręcz nad nimi nie panował, potrafił nagle rozplakać się albo przepowiadać koniec świata, nie sprzeciwiał się nikomu, a przyziemne sprawy mało go obchodziły. Był żarliwym wyznawcą chasydyzmu. Miał 15 lat, kiedy zaczął pisać komentarze do świętych ksiąg. Uważano go za odmieńca. Lubił się uczyć i przestrzegał starych, żydowskich obyczajów. Był jednak ciągle nieobecny, roztargniony i naiwny, co z pewnością było wynikiem wychowania pod matczyną spódnicą. Prowadził rzadko spotykany sposób życia: „poza światem”. Nie rzucał się w oczy, był raczej bezbarwny i bojaźliwy. Całkowicie pogrążony w wewnętrznym świecie. W dzieciństwie pragnął zostać świętym. Religia była esencją jego życia. Pragnął, aby jego dzieci były takie same.

Pinkas i Batszeba byli „doskonałe” niedobraną parą. On marzył o żonie wiernej, cierplivej, spełniającej jego zachcianki, jednym słowem takiej, która by wzorem matki go uwielbiała. Niekobiecej Batszebie trzeba było męża silnego, surowego, powściągliwego, jak ojciec, absolutnego przeciwnieństwa zniewieściałego słabeusza Pinkasa. Jednym słowem Batszeba powinna być raczej rabinem niż rebecin. „Według Izraela Jozuy, Pinkas i Batszeba mogliby tworzyć dobraną parę, gdyby ona była mężem, a on żoną”. Żyli zamknięci w dwóch osobnych, nieprzenikających się światach. Oboje bardzo inteligentni, oboje niedojrzali, oboje tak samo nieodpowiedzialni. Jak zaznacza Janet Hadda, każde zdezorientowane co do swojej roli

narzuconej przez płęć. Z owej walki przeciwieństw, walki mistycyzmu z racjonalizmem, z pary kontrastującej ze sobą, tak pod względem fizycznym jak i psychicznym, zrodzili się kolejno Hinde Ester, Israel Jehoszua, Izaak oraz najmłodszy z rodzeństwa Mojsze.

Hindele

Hinde Ester, nazywana przez rodzinę Hindele, przyszła na świat jako pierwsza, w roku 1891. Miała jasną cerę, kasztanowe włosy i niebieskie oczy. Zaraz po urodzeniu została oddana na wychowanie do mamki. Batszeba nie potrafiła znieść faktu, że jej pierworodne dziecko nie jest chłopcem. Była to ujma nie do zniesienia. Pierwsze trzy lata życia Hindele spędziła w ciasnej izbie szewca, pod stołem pełnym pajęczyn i kurzu. Omal nie oslepiła. Wróciła wtedy do domu, ale tiki nerwowe pozostały. Był to jednak dopiero początek dramatu córki, który trwał, niemal nieprzerwanie, do końca jej życia. Urodziła się „pod złą gwiazdą”. Matka nie znosiła jej, a ojciec ignorował. Nie okazywano jej miłości i nie wiązano z nią żadnych nadziei. Nikt jej nie rozumiał. Ojciec nie potrafił darzyć jej szacunkiem, a matka, ze względu na swój własny kompleks bycia kobietą, krytykowała ją, karała za ambicję, bezustannie karciała, otwarcie nienawidziła jej kobiecości. Joszua wspomina: „Kiedy moja siostra zapytała matkę, kim powinna zostać, gdy dorośnie, matka odparła pytaniem: „A czymże może zostać dziewczyna?” Ta krótka wymiana zdań, tak doskonale obrazuje status córki w rodzinie Singerów, iż podobne opisy można znaleźć w niejednej biografii pisarza. Agata Tuszyńska pisze tak: „Kim ja będę tato? - pytała kilkuletnia Hindele Ester. Kim ty będziesz? Nikim, oczywiście. Hinde cierpiała na epilepsję. Ponieważ w tamtym czasie choroba ta nie była znana i zdefiniowana, na pewno nie w zamkniętym szpitalu, córkę leczono na „nerw”. Janet Hadda, jako psychiatra, bliżej zainteresowała się jej przypadkiem i przy współudziale innych specjalistów w tej dziedzinie, określiła jej chorobę, jako napady padaczkowe częściowe złożone. Stwierdziła również, że ataki Hindele miały podłoże psychogenne. Tępe, wystraszone spojrzenie, automatyzm, brak pamięci po napadzie, konieczność stosowania wstrzą-

sów elektrycznych, to jednak nie koniec konsekwencji, jakie musiała ponosić Hindele w wyniku surowego wychowania. Całe życie cierpiała na choroby o podłożu psychicznym. Można trafić również na wzmianki o ciąży urojonej, która dotknęła Hinde w wieku dwunastu lat, licznych próbach samobójczych i ostrych atakach hysterii. Powołaniem kobiety było wnieść szczęście do domu męża i dać mu dzieci. Ona natomiast była nowoczesna, czytała żydowskie gazety i książki, była dramatyczna i uczuciowa. „Chasyd w spódnicy”. Hindele uciekła w pisanie. Była pierwszym, nigdy nie docenionym pisarzem w rodzinie. Pisała listy i opowiadania. Wreszcie w roku 1936, w wieku 45 lat wydała w Warszawie pod pseudonimem Ester Kreitman, autobiograficzny *Der szejdimternc*. Dziesięć lat później powieść ta, pod zmienionym tytułem *Debora*, ukazała się w Londynie. Dalej przetłumaczona została na język: niemiecki, francuski i duński. Hinde zarabiała na życie jako tłumaczka na żydowski. Drukowała w żydowskich gazetach: w Warszawie, Londynie, Paryżu, Toronto i Buenos Aires. Osiem lat po *Deborze*, opublikowała w Anglii drugą powieść *Briljantn*, a w 1949 roku zbiór opowiadań *Jiches*. Nieudane małżeństwo z Abrahamem Kreitmanem dało jej jedyną pociechę w postaci syna, Maurice Carra. Pomimo to, nikt nie zapewnił jej romantycznego szczęścia, o którym zawsze marzyła. Bracia mało o niej pisali. Przez Isaaka uważana była za wariatkę. Mania prześladowcza, neuroza... Wreszcie zaczęła ślepnąć na skutek katarakty. Nigdy nie była szczęśliwa. Zmarła w 1954 roku w Londynie w wieku 63 lat. Z tego roku pochodzi gorzki list Carra do osiadłego już w Stanach Zjednoczonych jej brata Isaaka. Pisze on: „Drogi Isaacu, [...] ponieważ nie zyczysz sobie znać szczegółów ani o tragicznym życiu, ani o śmierci mojej matki, nie będę ci o tym pisał”.

Warto pamiętać, tę opowiedzianą w wielkim skrócie, tragiczną historię jedynej córki, pierwszej pisarki w rodzinie Singerów. Kto myśli o budowaniu portretu pisarza noblisty, temu z pewnością w głowie majaczy się obraz Ester. Ona będzie powracać na kartach powieści Isaaka. Cechy jej nieodgadnionej osobowości przeniknęły do postaci Maszy z *Wrogów*, Dory z *Opowieści*

o dwóch siostrach, Magdy ze *Sztukmistrza*.... Rachele - Hindele, Hindele - Rachele, rymować będzie-my po przeczytaniu *Szatana w Goraju*. Miejmy nadzieję, że ten krótki portret spowoduje, iż z niecierpliwością będziemy wypatrywać w dorobku noblisty tej fascynującej a zarazem niebezpiecznej kobiety.

Jehoszua

Piąty listopada 1893 roku to szczęśliwy dzień! To dzień narodzin upragnionego syna. Syna, który zetrze łzy z twarzy matki, będzie oczkiem w głowie ojca. Syna, który najboleśniej ich zawiedzie. Na świat przychodzi Israel Jehoszua Zynger.

Jehoszua, dla rodziny Szyje, przyszedł na świat w Biłgoraju. Miał zostać rabinem. Na przekór oczekiwaniom, wykazywał od samego prawie początku najrozmaitsze talenty, poza jednym. Kompletnie nie interesowały go tajniki wiary, miesiadywanie w ciemnych pomieszczeniach chederu oraz niekończące się modły. Zaciekle buntował się przeciwko ojcu. We wczesnym dzieciństwie bratnią duszę znalazł w osobie dziadka Mordechaja. Obawy ojca o los syna potęgował fakt, iż cichym sojusznikiem Szyi stała się jego matka. Oskarżał ją o sianie herezji w niewinnym dziecku. Przy każdej nadarzającej się okazji Szyja uciekał z domu. Wchłonęła go ulica. Tam spędzał godziny na zabawach z synami rzemieślników i furmanów. Tam słuchał opowieści żebraków i wędrowców. Tam spotykał artystów. A trzeba pamiętać, że nic od sztuki bardziej go nie fascynowało. Na nieszczęście i stamtąd znosił do domu coraz to bardziej bluźniercze przekonania. Bunt przeciwko Bogu, przeciwko wizji stworzenia przybierał na sile. „Nasz dom był raczej domem nauki niż normalnym domem, domem Boga bardziej niż domem człowieka”. Był niezależny i odpowiedzialny i co najgorsze czuł, że nie jest bezradny. Cecha ta charakteryzowała całą jego rodzinę. Wstydził się ojca wiecznie pochylonego nad pulpitem, studiującego wielkie księgi, ale matka podziwiała tego odszczepieńca i młodego heretyka. Prawdopodobnie widziała w nim siebie. Wyrastał na mężczyznę, którego nigdy nie dane jej było spotkać. Szyja zaczął malować. Opanowała go istna mania malowania. Akt ten dokonywał się

oczywiście po kryjomu. Marzył, żeby w przyszłości studiować malarstwo.

Postanowił wziąć los we własne ręce, zresztą był przyzwyczajony do tego, by liczyć tylko na siebie. Zaczął więc znikać z domu na dłużej. Odwiedzał biblioteki, muzea, teatry. Powoli wtapiał się w życie cyganerii. Na drodze tej napotkał jeszcze jeden fascynujący obiekt zainteresowania - dziewczyny. Czytał coraz więcej i więcej. Czytał wszystko, co wpadło mu w ręce. Od Newtona przez Kopernika do Kanta. Stagnacja w domu dobijała Szyję. Skłonność do porywczosci i brawury narastała. Wulkan, na którym siedzieli domownicy, musiał wreszcie wybuchnąć. W roku 1914 Szyja wyprowadził się z domu, ściał pejsy, zrzucił chałat Ojciec i matka stracili pierworodnego syna. Wydawać by się mogło, że już nic nie stało na przeszkodzie do spełnienia marzeń.

Rzeczywistość okazała się bardziej brutalna. Początkowo Jozua, jak odtąd będzie nazywany, znalazł schronienie w atelier wraz z innymi młodymi artystami. Wtedy już odwiedzał go młodszy brat Isaak. Sielanka szybko się skończyła. W niespełna rok od wyprowadzki, Jozua został powołany do rosyjskiej armii. Wojsko to nie miejsce dla artystów, dlatego Jozua się ukrywał. Dla zarobku chwycił się każdego zajęcia. Był robotnikiem, pomocnikiem fotografa, a z czasem udało mu się zdobyć posadę korektora. Studiował malarstwo, co nie przeszkadzało mu w dalszym kształceniu. Uczył się języków. Pisał pierwsze opowiadania. Drukował je na łamach pisma *Dos Jidisze Wort*.

Latem 1918 roku Jozua wyjechał do Kijowa, drukował w tamtejszej gazecie. Był już wtedy zdeklarowanym ateistą. Pojawiły się opinie, że już wcześniej nie wierzył ani w Boga, ani w diabła. 1919 rok to wizyta w Moskwie. Tam też, rok później, przed lewicowymi pisarzami czytał swoje opowiadanie *Perły*. Nie spotkał się bynajmniej z życzliwym przyjęciem, wręcz przeciwnie, został ostro zaatakowany.

W tym czasie zawarł związek małżeński z Genią Kupferstuck z Krasnobrodu. Genia była jedyną towarzyszką jego życia. W roku 1921 Jozua powrócił do Warszawy. Tworzył pisma literackie: *Chaliastre*, wraz z moskiewskim pisarzem *Perecem Markiszem* i wiedeńscy-

kiem *Mejlechem Rawiczem*, oraz pismo *Ringen*. Kariera literacka nabierała tempa. Już w 1923 roku sztuka Jozuy zatytułowana *Erd-Wej* trafiła na deski *Yiddish Art Theater*. W 1928 powstał tom *Nowa Rosja*, l wreszcie w roku 1932 został opublikowany, na łamach amerykańskiego *Forwerts* i *Iwowskiej Chwili*, *Josie Kałb*. Powieść oceniana jako najwspanialsza w dorobku literackim Jozuy.

Na jesieni tego samego roku *Josie Kałb* doczekał się inscenizacji w Teatrze Żydowskim w Nowym Jorku. Młodego pisarza, pracującego na stanowisku warszawskiego korespondenta *Jewish Daily Forward*, posługującego się pseudo-nimem *G. Kuper*, spotkała życiowa i niepowtarzalna szansa. Od redakcji nowojorskiego pisma, a konkretnie od *Abrahama Kahana*, Jozua otrzymał zaproszenie na wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Tym samym gwarantując stałej posady redaktora *Forwerts*. Był rok 1933, kiedy Jozua wraz z rodziną opuścił Polskę na zawsze.

Wyjazd ten to nie tylko atrakcyjna wycieczka za ocean, szansa na awans czy możliwość błyskotliwej, niczym nie ograniczonej kariery. To szansa na przeżycie. Szansa, którą od losu otrzymali nieliczni. Można przypuszczać, że Jozua w momencie wyjazdu nie zdawał sobie sprawy z daru, który wraz z paszportem otrzymał. Z daru życia.

Rok po opuszczeniu Polski pamięć o Jozui Singerze nie wygasła, czego dowodem jest ukazanie się w polskim przekładzie, *Josie Kałba*. Powieść wydana nakładem wydawnictwa *Rój*. Nazwę wydawnictwa warto pamiętać, gdyż pojawi się jeszcze w dalszej części pracy. Kariera w Ameryce była błyskotliwa. Popularność pisarza równa była niemal popularności mistrza *Szaloma Asza*. Bardzo szybko okrzyknięty został najwybitniejszym prozaikiem literatury żydowskiej. Pierwszego grudnia 1934 roku ukazała się kolejna powieść *Bracia Aszkenazy*. W roku 1943 następną, wielką sagą *Rodzina Karnowskich*.

Ten niewątpliwie wybitny pisarz zaliczany do nurtu nowej awangardy, artysta, który przeżył wzloty i upadki, śmierć starszego, dwunastoletniego syna, *Jaszy*, cudownie uniknął *Zagłady*, pisarz, którego świetlana przeszłość widniała na horyzoncie,

rankiem dziesiątego lutego 1944 roku, w wieku 51 lat, zmarł na atak serca. „Czarna owca” rodziny *Singerów* nie żyje. Po jego śmierci ukazało się opowiadanie *Wiosna*, a w roku 1946 pamiętniki z dzieciństwa *Of a World That Is No More*. Fragmenty owych pamiętników będą pojawiać się w dalszej części pracy.

„Bardzo go szanuję i Kocham. Szanowałem go jako człowieka, znakomitego dziennikarza i pisarza. „On wskazał mi drogę. To on był mentorem, wzorem, „ojcem duchowym”, największym autorytetem dla młodszego *Isaaka*. Sprawował opiekę nad nim zarówno w dzieciństwie, jak i w latach amerykańskich. Jednakże to spod jego cienia tak trudno było się wydostać, przebić na światło dzienne, przestać być młodszym bratem wielkiego pisarza. Umożliwiło to najbardziej okrutne z rozstrzygnięć - jego śmierć.

Bracia byli złączeni ze sobą rodzajem duchowej pepowiny. Ich związek był jednak toksyczny. Młodsze, słabsze stworzenie próbowało unicestwić swego dobroczyńcę. Osiągnęło cel. Czy o taką formę niezależności mu chodziło? Czy przedwczesna śmierć brata dała mu swobodę, o której marzył? Nie. Cień brat nigdy go nie opuścił. Był przy nim na każdym stopniu rozwijającej się wielkiej kariery. Stał obok podczas uroczystości rozdania *Nagród Nobla*. Ciążył mu aż do śmierci.

Pisać o *Singerze* nobliście, bez śladu rysów matki, ojca, siostry oraz braci, to jak pozbawić jego prozę pokarmu, którym się żywiła. Ich portrety zdobić będą niemalże wszystkie jego powieści i opowiadania. Będą stanowić korzeń, z którego wyrosną niezliczone gałęzie opowiadanych przez autora historii. ■

Fragmenty pracy magisterskiej napisanej pod kierunkiem prof. dr hab. *Anny Kuligowskiej - Korzeniewskiej*



Niedyskrecje kulinarne

Lato...

Drodzy Moi, piszę do Was z wakacji. I choć u gościnnych Chorwatów na wyspie Vis kuchnia zachwyca bogactwem ziół, prostotą przyrządzania dań, to już tęsknię za zapachem i smakiem polskich potraw i o dziwo uparcie wracam pamięcią do pewnej podróży z początku lat 60-tych ubiegłego stulecia...

Jako 15-letnia harcerka wracałam z obozu na wyspę Wolin (najbardziej wysuniętego punktu granicy z ówczesnym NRD w północno - zachodniej części Polski). Przemieszczałam się „taborem” niezawodnej PKP do nieznannej mi wcześniej miejscowości Terespol k/Biłgoraja zaproszona na sierpniową część wakacji przez panią Anielę i Leopolda Dudeków - wujostwo mojej mamy. Podróż trwała prawie dobę w warunkach zdumiewających (czytaj: normalnych). Po dziesięć (do piętnastu) osób w przedziale. Bagaże złożone między siedzeniami na podłodze tworzyły miejsca leżące. Wytypowana jako lekka, chuda otrzymałam „łóżko” na półce bagażowej i rankiem, zdrowo poobijana, ale pełna radości i nadziei nowych wrażeń, wysiadłam na stacji Zwierzyniec - Biały Słup. Upał był niemiłosierny i brak widoków na śniadanie. Tu czekała na mnie nowa atrakcja - kolej wąskotorowa, zwana potocznie CIUCHCIA. Sapiąc groźnie, stając pod każdą górką (dla uzupełnienia wygotowującej się wody) z przewiewnymi przedziałami dawała możliwość podziwiania nieznannej mi, niezwykle pięknej krainy Rostocza. W samo południe wysia-

dłam prawie w „szczerym polu”, zbiegłam z nasypu kolejowego wprost pod drewnianą szkołę w Terespolu. Byłam u celu podróży. Ganeczek, stadko ptactwa domowego wokół studni z żurawiem, a wewnątrz pełne wdzięku mieszkanie z piecami kaflowymi, z ogromną biblioteką i pianinem, przechodzące tajemne przejście do kancelarii kierownika szkoły (wujka Poldka) i dalszej części budynku będącego miejscową szkołą podstawową. Wszędzie lampy naftowe. Szok! - nie wiedziałam, że poznam Polskę tak zacofaną cywilizacyjnie, ale uchronioną w czystości prostoty i niebywale gościnną.

Posiłek, pierwszy od poprzedniego dnia, był rozkoszą, której nie zapomnę nigdy i, jak pisał Norwid, uchowam w sumieniu.

Zupa pomidorowa

- WŁOSZCZYŻNA - posiekać w kostkę i uduśić z łyżką MASŁA. Dopełnić wodą, gotować ok. 15 minut.

- CEBULĘ posiekać w kostkę, posolić i zeszklić na maśle, dodać obrane ze skórki 2-3 POMIDORY. Dusić 5 minut pod przykryciem.

- JAJKO roztrzepać widelcem

Alicja Jachiewicz-Szmidt

aktorka teatru i filmu, fundatorka i kurator Domu Służebnego Polskiej Sztuce Fundacji Kresy 2000 w Nadrzeczcu k. Biłgoraja, pedagog i wychowawca młodych adeptów sztuki teatru, opiekun artystyczny teatru „Enigmatic” przy Katolickim Uniwersytecie Lubelskim; prywatnie zadziwia gości Fundacji znajomością i oryginalnością sztuki kulinarnej wyniesionej ze stron rodzinnych: Wileńszczyzny i Biłgorajszczyzny



z MAKĄ i szczyptą soli, wlać na gotujący się wywar jarzynowy cienkim strumieniem, aby powstały kluseczki. Dodać pomidory. Dopawić śmietaną i siekaną natką pietruszki.

Młoda kura pieczona z nadzie- niem

- kura (młoda, wiejska 1 - 1,6 kg) sparzona bez mycia, wytarta do sucha
- 2 jajka na twardo
- 1-2 jajka surowe
- wszystkie podroby kury
- 1 bułka wymoczona w mleku i odcisnięta

- 2+1+1 łyżki masła
- 1 duża cebula posiekana w kostkę i zeszkłona na maśle
- sól, pieprz, majeranek
- natka pietruszki (posiekana)
- młody koperek (posiekany)

Kurę natrzeć masłem z solą i majerankiem. Pozostawić na 1 godzinę w chłodzie.

Przygotować nadzie: - jajo posiekać w kostkę
- podroby także pokroić w kostkę
- dodać: bułkę, surowe jajka, łyżkę masła, natkę kopru i pietruszki, cebulę, sól, pieprz do smaku.

Nadzieć jamę brzusznej kury i zaszyć. Piec w piekarniku lub prodiżu około 1 godziny w 180 stopniach C. Podawać z młodymi ziemniakami z wody, mizerią ze świeżych ogórków i koniecznie z kompotem z jabłek.

Na koniec bardzo proszę o korzystanie z darów lata. Pamiętajmy o przerabianiu jak największych ilości śliwek czy moreli. W następnym numerze więcej o tych owocach. ■

Z pozdrowieniami z wakacji

Alicja



Kolej wąskotorowa zwana potocznie „Ciuchcią”

Piotr Wojciechowski

geolog, pisarz, dramaturg, publicysta, scenarzysta i reżyser filmowy, laureat nagrody im. Wilhelma Macha, nagrody Kościelskich, nagrody PEN-Clubu, nagrody im. Kornela Makuszyńskiego. Autor

wielu znanych i wzna-
wianych powieści i tomów esejów. Felietonista miesięczników „Więź”, i „List do Pani”, współpracownik „Tygodnika Powszechnego” i „Kina”.

Profesor Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Tv i Teatralnej w Łodzi, wykładowca Laboratorium Reportażu na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego.

Organizatorzy nie musieli się martwić o publiczność, bo plażowanie jest nudne, lizanie lodów na deptaku jeszcze nudniejsze, więc jeśli działo się cokolwiek, ludzie nadchodzili gromadami. Przypadło mi w udziale publiczne dyskusowanie na temat tolerancji, potem na temat prawdomówności mediów, wreszcie na temat współczesnego kina.

To były późne popołudnia. A w samo południe, przy zenicie skwaru, prowadziłem przez trzy dni „warsztaty scenariuszowe”. Mamy już w Polsce stacjonarne studia wyższe uczące pisania scenariuszy, kandydaci przechodzą najpierw egzamin konkursowy, potem już jako studenci po trzech latach, po sześciu semestrach wykładów, ćwiczeń, projekcji filmowych mogą ubiegać się o licencjat.

Wobec tego faktu próba nauczania pisania scenariuszy przypadkowych plażowiczów w czasie paru godzin, przez trzy dni, wydać się musi czystą bzdurą. Ale powiedziano mi, że na Karuzeli Cooltury wszystko ma jechać po bandzie, nie zadawałem sobie zbędnych pytań, przygotowałem program, wykonałem i znalazłem w tym pewien sens, pewną słodycz. Bo pracowali ze mną serio ludzie z wszelkich zakątków kraju. Wszyscy - od siedemnastolatek w okularach po małżeństwa pięćdziesięciolatek z doktoratami.

Ryzykownie i na skróty weszliśmy w sam środek mrocznych tajemnic, gdzie z miazgi tego, co rzeczywiste destyluje się wirtualne zwidy ekranu, a materialność bryły aktorskiego ciała, kamery, taśmy, mikrofonu, dekoracji służy metafizyce pytań, duchowej agresji reżysera na świadomość widzów. Nie

Gospodarka oparta na lenistwie

Zaproszono mnie w lipcu na festiwal Karuzela Cooltury w Świnoujściu. Hasło imprezy wydało mi się zachęcająco wieloznaczne „Co jest rzeczywiste, a co wirtualne, co jest materialne, a co duchowe”. Impreza okazała się zadziwiająca, piętrzyła przez cztery dni dziesiątki wydarzeń z wszelkich dziedzin twórczości, myśli i rozrywki.

zaszliśmy daleko, nie było, kiedy, ale na całe wakacje zostało ze mną przeświadczenie, że duch miejsca, „genius loci” ma rzeczywistą moc pomnażania ludzkich możliwości, a stan duchowy plażowego lenistwa, nagrzanego bezmyślności, eksplodować może pomysłami przekraczającymi możliwości tych samych osób w rygorze normalnej pracy, normalnej nauki. Rozstaliśmy się z Bałtykiem na rok, w przyszłym roku hasłem festiwalu ma być „przemiana”.

Wróciłem do dyszącej upałem Warszawy, aby zaraz jechać z niej precz. Pamiętając o fenomenie „genius loci” ruszyłem samopięt tam, gdzie wiodło serce. Stara miłość nie rdzewieje, moja miłość do Puszczy Rominckiej ma ponad trzydzieści lat i dopiero teraz upalny lipiec przyniósł mi jej właściwy smak. Zaczęło się to kiedyś od fascynacji na odległość, w trudnych latach osiemdziesiątych

napięciem był i wydałem powieść dla młodzieży „Wiatr schwyty w lustrze”. Szukałem wtedy miejsca, do którego trzeba było posłać grupę bohaterów wakacyjnej opowieści i zapatrzyłem się na mapę Polski. Z zapatrzenia wybrałem lasy i jeziora na zachód od Gołdapi, na północ od Sejna. Od tej pory miałem dług do spłacenia tej ziemi. Teraz, po wielu latach, kiedy próbowałem zarazić grupę przyjaciół moim marzeniem Wielkiego Szlaku Kresowego, wiedziałem już, że trasa musi zaczynać się w Puszczy Rominckiej, musi biec najpiękniejszymi okolicami Kresów Ocalonych, nad Bugiem, a doprowadzać powinna gdzieś na przedgórze Bieszczadów. Dziś, gdy znikło pytanie, czy Szlak powstanie, a gorący jest problem rozumnego i uczciwego wydania ogromnej europejskiej dotacji na trasy rowerowe Polski Wschodniej, uznałem, że dalej zwlekać nie wolno. ■



Co jest rzeczywiste, a co wirtualne, co jest materialne, a co duchowe - to hasło tegorocznego festiwalu

VIII Ogólnopolski Zlot Motocyklowy Roztocze - Biłgoraj 2010





Kolegium UMCS w Biłgoraju

nowe kierunki



3-letnie studia w roku akad. 2010/2011

Studia STACJONARNE (dienne) bezpłatne

- Stosunki międzynarodowe
- Politologia, specjalność: **Administracja publiczna**
- Informatyka
- **Filologia polska**, studia nauczycielskie: Język polski z historią z dodatkową specjalnością logopedyczną

Studia NIESTACJONARNE (zaoczne)

- Stosunki międzynarodowe
- Politologia, specjalność: **Administracja publiczna**
- Informatyka

Studia PODYPLOMOWE

- Prawo pracy i ubezpieczeń społecznych
- Fundusze europejskie w samorządzie terytorialnym
- Zarządzanie projektami a polityka Unii Europejskiej
- Rachunkowość
- Zarządzanie zasobami ludzkimi
- Zarządzanie w administracji publicznej
- Logopedia
- Mediacja szkolna i sądowa
- Studia kwalifikacyjne z zakresu wczesnego wspomaganie rozwoju dziecka
- Pedagogika wczesnoszkolna
- Pedagogika resocjalizacyjna

rekrutacja trwa

www.umcs.bilgoraj.pl